

TYGODNIK ILUSTROWANY.

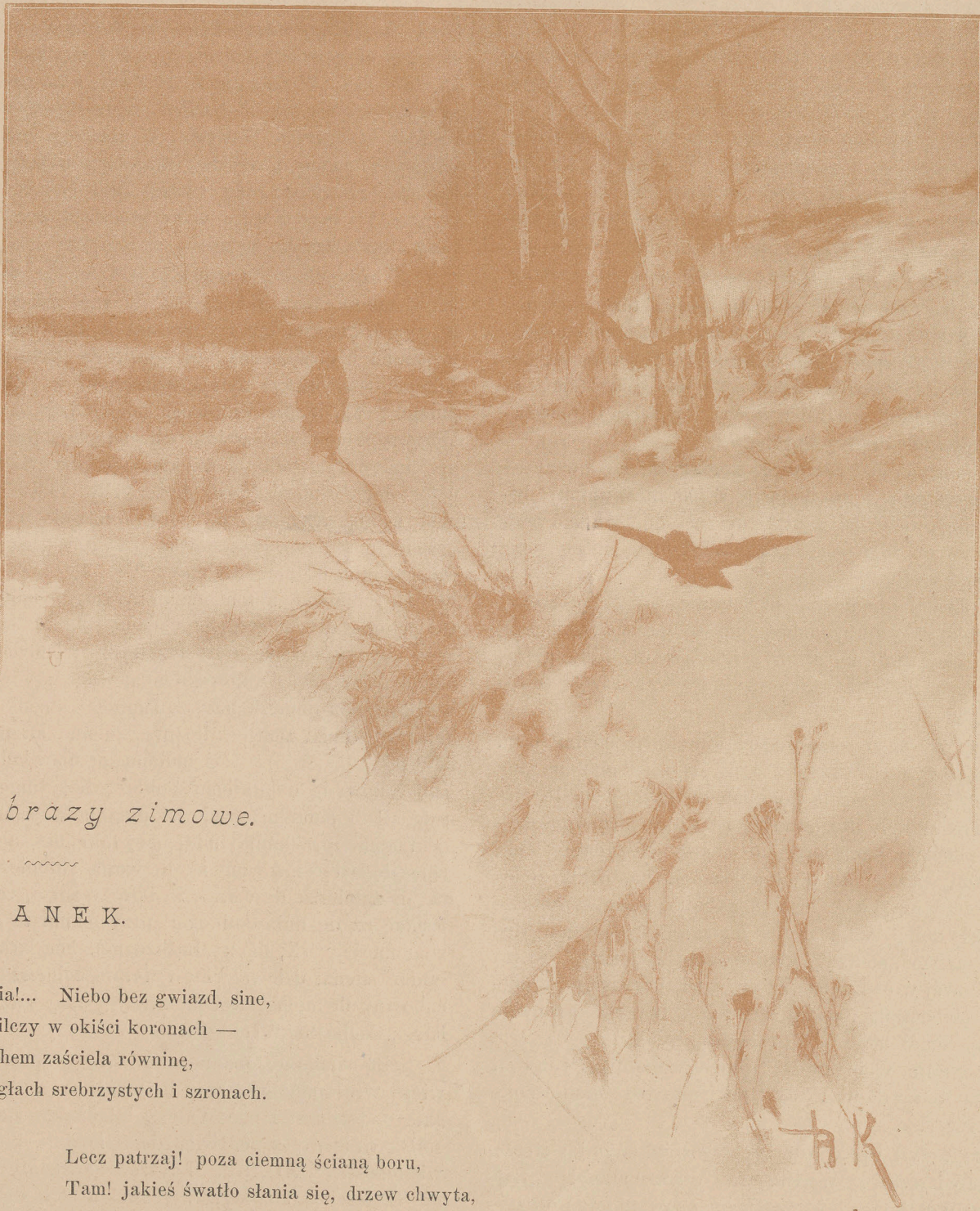
№ 116.

WARSZAWA, 19 MARCA 1892.

Serya V.— Tom V.— № 1,692.

Cena numeru kop. 20.

ROMAN KOCHANOWSKI.



Krajobrazy zimowe.

R A N E K.

Cicho! śpi ziemia!... Niebo bez gwiazd, sine,
Ciemny bór mileży w okiści koronach —
Wokół śnieg puchem zaściela równinę,
Śpi ziemia we mgłach srebrzystych i szronach.

Lecz patrzaj! poza ciemną ścianą boru,
Tam! jakieś światło słania się, drzew chwyta,
Płynie ku górze, nabiera koloru
I tkliwym wzrokiem śpiącą ziemię wita.

Ranek! Śnieg spłonął, jasne grają zorze,
Bór, jak w opalach — a niebo w szkarłacie
I ziemia cała oblana rumieńcem!

Tak płonie krasą dziewczę czyste, hoże,
Gdy strojne rutą, idzie z oblubieńcem
Przysięgać miłość w niewinności szacie.

Jan Zdora.



ZE ŚWIATA BAŚNI.

Prawdziwa radość zapanowała pomiędzy zbieraczami i badaczami rzeczy ludowych, gdy znakomity powieściopisarz polski, zasłuchany w ciszę tatrzańską, przerwana bajaniem Sabaly, upamiętnił piórem jedną z najpiękniejszych opowieści jego, gdy potem pismo wasze ją powtórzyło, ilustrując ślicznymi rysunkami Stachiewicza, i gdy seicyny słuchaczy Fiszera oklaskiwały jej wygłaszanie wśród monologów ulubionego improvizatora. Wrażenie było wielkie, przypominające epokę, kiedy pierwsi romantycy nasi rzucili ogółowi pierwszą garść baład, osnutych na pieśniach ludowych.

W naszych uszach raz trącona struna baśni gminnej wywołała mnóstwo tonów siostrzanych, mnóstwo alikwot, jak to mówią panowie fizycy od akustyki. Bo też bajka ludowa nigdy nie ukazuje się samotną i odrębną: krewni się ona z liczną rodziną swoją mnóstwem włókien jednorodnych, ma pełno siostr rodzonych i przyrodnych. W każdym, kto się niemi z zamiłowaniem zajmuje, budzi się chęć przypatrzenia się zblizka tym powinowactwom i nadzieja dojścia, jak, kędy, kiedy się podanie złożyło, gdzie je znają, a gdzie nie, czy tylko u nas gości, czy też i u obcych się powtarza, czy od nich do nas, czy od nas do nich się dostało?

W „Bajce Sabalowej“ od razu widać spojenie dwóch odrębnych powieści. Jedna prawi o uwięzieniu Śmierci, druga o karze za nieposłuszeństwo. Pierwsza i druga, w tej postaci, jak je spisał H. Sienkiewicz, nie są dopowiedziane. W pierwszej słuchacz niczego się nie dowiadyuje, co się stało z chłopem, który „odetkał Śmierć z wirby;“ w drugiej spotykając ją kara nie jest dostatecznie upowodowana.

Nie chcemy przez to uczynić najmniejszego zarzutu H. Sienkiewiczowi: spisał on baśń, tak, jak słyszał z ust bazarza, o tém nie wątpimy; bazarz zaś, w danej chwili, nie uważał za rzecz konieczną dopowiadać reszty, bo tę resztę, zdawało mu się, słuchacze znają tak dobrze, jak on sam, i w duszach swych ją dośpiewają.

Otóż pragnęlibyśmy dzisiaj dopomóc słuchaczom Sabaly i Fiszera, oraz czytelnikom „Tygodnika“ i przypomnieć im te tony harmoniczne, które się krewnią z dźwiękiem głównej struny. Podamy tu kilka paraleli ze zbiorów naszych rzeczy ludowych i poszukamy w dalszych okolicach parenteli ślicznej legendy.

Pospieszam dodać, że już w znacznej części zadanie to spełnił p. S. Jastrzębowski w ostatnim zeszycie „Wisły“ z r. 1891-go. Podał on tam prześliczną bajkę z Opatowskiego, wcale podobną do drugiej części Sabalowej, jako Śmierć Kostę „wzięła litosierność“ na widok pięciorga drobniaczka, jak trzy lata nie słuchała Pana Boga, aby matkę ich zabrać, i jak potem (tu już nowy, śliczny wątek) duszę jej posadziła na listku zielonym, aby się dziatwie mogła przyjrzyć; następuje dalej scena z robaczkami, ale już nie w rozgryzionej skalce z dna morskiego, lecz pod dużym kamieniem, na świadectwo „modrości i miłosierności bożkiej;“ dusza matki, za karę nieufności swęj w opatrność bożką, siedzi na listku, a najmłodszy synek jej dziwi się dotąd: „cemuj ten jeden listeczek na debie tak ląta i ląta, kieby sie chciał urwąć i do nieba polecieć?“

Opowieść ta nie ustępuje w piękności „Bajce Sabalowej;“ nawet prześciga ją delikatnością fantazyi; niech czytelnik sprawdzi zdanie moje i w całości ją odczytać raczy.

P. Jastrzębowski przytoczył i pokrewne z powyższem bajania; streszczę każde z nich w kilku wierszach. Wspomniawszy nasamprzód o „Bajce Sabalowej;“ powtórzył podobną z Ropezyckiego; opowiada ona o przyuczynie głuchoty Śmierci: słyszała ona dawniej dobrze; ale Pan Bóg ją ogłuszył za karę, że nie zabrała matki kilkorga drobnych dzieci. Następnie p. J. cytuje baśń z Augustowskiego, podaną niegdyś w „Kłosach;“ zapisaną przez H. Giegużyńskiego, i drugą z Chełmskiego, ogłoszoną przez O. Kolberga. W obu zamiast Śmierci występuje inna istota nadludzka: w pierwszej anioł, w drugiej Św. Jędrzej; obaj, wbrew rozkazowi bożemu, litują się nad obarczonemi dziatwą wdowami, dopuszczają się nieposłuszeństwa i ponoszą karę: muszą kilka lat służyć u ludzi na ziemi. Epizod z kamieniem przedstawia się tak: Pan Bóg daje różdżkę aniołowi, aby nią uderzył w skalę nad morzem; rozpada się ona i odślania błyszczące, igrające robaczki; w drugiej Św. Jędrzej uderza w kamień, leżący na dnie morza rozstąpionego, i widzi dwa robaczki, „które się radują, co sie wydostali z niewoli.“

Widzimy tedy, że do „Bajki Sabalowej“ znalazły się cztery blisko

spowinowaczone, choć geograficznie dość od niej odległe odmianki. Poszukamy innych jeszcze, z bliższych i dalszych miejscowości, ale wprzód powiemy kilka słów o składających ją wątkach.

Głównym, płynącym z zamierzonych wieków ludzkości, jest uosobienie Śmierci. Człowiek pierwotny odznaczał się tak ułożonym umysłem, że wszystkie siły przyrodzone, tak w sobie, jak i poza sobą, wyobrażał w ludzkiej postaci. Postać ludzką miała śmierć, każda choroba, dola i niedola, ogień, woda i t. d., słowem wszystko, co żyje i co nie żyje na świecie. Wprzód, nim przebłagać i uprosić, człowiek usiłował nadludzkie te istoty zwoić, uwięzić i do swęj woli nagiąć. Jeszcze w Starym Zakonie Jakób, po całonocnem „biedzeniu się z mężem“ jakimś, zmusza go, aby mu błogosławił: mężem tym był nie kto inny, tylko Jehowa (I, Mojż. 32, 14—32). W podaniach, i to nie tylko naszych, łowienie i uwięzienie istot nadprzyrodzonych bardzo często się spotyka. Oto cały szereg przykładów chwytania Śmierci. W mitologii greckiej znajdujemy np. baśń o Syzyfie, owym olbrzymie, ukaranym później wtaczaniem na górę ciągle spadającego głazu: rozgniewany Zeus posyła Śmierć na niego; ale Syzyf kępuje jej ręce i nogi; ludzie przestają umierać; dopiero gdy Ares z rozkazu Zeusa Śmierć wyzwala, rozpoczyna ona na nowo swe żniwo.

U nas pełno jest klechd, w których odważny lub podstępny śmiertelnik tegoż czynu dokonywa. Pewien chłop w Olkuskim uwięził Śmierć w wypróchniałym buku i trzymał ją tam bardzo długo, tak, iż strasznie wychudła i straciła siły; od owego to czasu nie może ona od razu ludzi zabijać, więc długo konają (Ciszewski w „Zbiorze wiadomości do antropologii;“ XI, 6). Na Kujawach opowiadają o wysłużonym żołnierzu, który „przyszedł pod bór; zrobiło się ciemno, uderzyła mgła; wychodzi do niego Śmierć i powiada: Żołnierzu, będziesz umierał, bo już teraz czas. A on odpowiada: Śmierć, chodź tu do torby. Jak złapał Śmierć do torby i trzymał, że bez trzy lata ani jeden człowiek na świecie nie umarł.“ Oczywiście była to torba cudowna, do której, na rozkaz żołnierza, wszystko iśc musiało (Kolberg „Kujawy“ II, 118). W bajce z Przasnyskiego Waluś ma cudowną jabłoń, na którą gdy podstępnie Śmierć zwabił, a gałęzie ją oplątały, ta zaczęła wołać: Siła lat bedziesz chciał żyć, to ci dóm żyć, aby me wypuść z tych gałęzi! (Chełchowski „Powieści i opowiadania“ I, 178). W Krakowskim pewien gajowy trzymał Śmierć siedm lat w torbie, aż dopiero przyszedł anioł i kazał ją wypuścić; wtedy jednego dnia tyle ludzi zmarło, ile przez siedm lat nie umierało (Kolberg „Krakowskie;“ IV, 135). Coś podobnego opowiadają na Ukrainie, ale z bardzo ciekawym dodatkiem: żołnierz więzi Śmierć w worku; ludzie nie umierają, ale i jemu już życie za długim się zdaje; więc idzie do piekła, ale go tam nie przyjmują; udaje się do nieba, a gdy i Św. Piotr nie chce go wypuścić, więc każe mu iśc do wora, i dopiero Pan Bóg uwalnia Św. Piotra, a żołnierza do worka za karę wsadza, zawiesza na niebie i każe tam czekać aż do dnia sądnego; przypomina to los Twardowskiego („Zbiór wiadomości;“ IX, 117). Bardzo podobną baśń opowiadają w Chełmskim: Śmierć siedzi dziewięć lat w torbie żołnierza, on zaś dostaje się pod dąb cudowny do nieba, stoi na straży i stać będzie aż do końca świata (Kolberg „Chełmskie;“ II, 112).

Opowiadanie, podane w r. 1875-ym przezemnie z Poniewiezkiego, zawiera wcale podobne rysy do wyżej przytoczonego ze zbioru S. Chełchowskiego; jest tam i imię Waluś, i jabłonka cudowna; nowym wątkiem jest stółek cudowny z niedźwiedziami łapami, który Śmierć uwięził („Zbiór wiadomości;“ XII, 16). Łotysze opowiadają o dziewięcioletniem trzymaniu Śmierci w tabakierze; ziemia zaczęła się skarżyć Panu Bogu, że jej strasznie ciężko dźwigać tyle ludzi na sobie; więc Pan Bóg kazał Śmierć wypuścić (S. Ulanowska „Łotysze;“ odbitka z tomu XV-go „Zbioru wiadomości;“ str. 77).

Jak Śmierć, tak czasem i Bieda dostaje się do kozy. Pińczowiaczy opowiadają, że pewien chłop, u którego Bieda za piecem oddawna gościła, podstępem uwięził ją za ręce w szczelinie dębu i odtąd wiodło mu się dobrze; Bieda pozostałaby w lesie na wieki, gdyby cheiwy brat tego chłopca nie był jej ze szczeliny wypuścił („Zbiór wiadomości;“ IX, 52). Ktoś inny uwięził Biedę w kości, inny znowu zakopał ją do ziemi (tamże, XII, 12; Kolberg „Pokucie;“ IV, 198).

Jan Karłowicz.

(Dokończenie nastąpi).

Maryan Gawalewicz.

M E C H E S Y.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Kiedy weszli do maneżu, zastali już Sammetównę na siodle.

Traubsohnowa zatrzymała się przed nią w pewnym oddaleniu i zwieszona na ramieniu Bernarda: szepnęła do niego głosem kusicielki:

— Patrz-no pan, co to za wspaniała kobieta z tój Malci!... podoba się panu?...

Bernard uśmiechnął się i wymijająco odrzekł:

— Chowaliśmy się razem w dzieciństwie.

— No to i cóż?... to się już panu podobać nie może?... Gdybym była mężczyzną, przepadałabym za takimi dużymi kobietami. Dalibóg, ona ślicznie wygląda na koniu!...

Zwracała niby uwagę na wdzięki Malci, ale sama przyciskała jego ramię do siebie, z tą wyrafinowaną zalotnością kobiety, która umie „brać mężczyznę“.

— Wy jesteście wszyscy ślepi, jak krety,— mówiła dalej, podnosząc do niego głowę i zaglądając mu w same oczy,— szukacie Bóg wie czego, Bóg wie którędy, a nie widzicie tego, co macie pod samym nosem. *Sieh, das Schöne liegt so nah!*...

— O kim pani mówi w tój chwili? — spytał ją z udaną niedomyślnością, ale ze złośliwym uśmiechem.

Zrobiła zagniewaną minę i odwróciła się od niego, nie puszczać jednak jego ramienia.

— Ee, nie udawaj pan; wiesz przecie, o kim mówię.

— O sobie?...

Udała jeszcze bardziej urażoną.

— Zarozumialec z pana — rzekła,— dlatego, żeś pan ładny, to już ci się zdaje, iż każda kobieta musi się panu sama na szyję rzucić?... Nie każda taka naiwna, jak ta...

Znaczącym spojrzeniem wskazała na Malcię.

Słowa jój zadziwiły go; wzruszył ramionami i popatrzył na Traubsohnową pytająco.

— Daję słowo, nie rozumiem pani,— odezwał się głosem poważnym.

— Słowo pan dajesz?— zawołała, ale miarkując się natychmiast znowu, szepem dodała:

— Jaktó?... nie wiesz pan tego, że ona w panu zadurzona po uszy?...

Zarumienił się po same białka i z dobroduszną szczerością odpowiedział:

— Nie wiem. Zkądże mam wiedzieć?...

Wzięła to za udanie z jego strony i jakby za karę, uszczypnęła go w ramię.

— Jesteś pan dzisiaj nieznośny!...

Zostawiła go na środku maneżu i poszła sama do swego konia. Sammetówna podczas ich rozmowy, kłusowała dokoła maneżu i rzuciła ku nim z pod oka spojrzenia jakieś badawcze i zaniepokojone zarazem, jak gdyby przeczuwała, że jest przedmiotem ich tajemniczych szepców.

Udawała, że jest zajęta tylko jazdą konną i że się jój z całą pasją oddaje, ale udawała bardzo niezręcznie.

Bernard zmieszany zawsze jeszcze słowami Traubsohnowej wodził teraz oczyma za Sammetówną i przypatrywał się jój z większym zajęciem i z kłopotaniem jakimś, którego ukryć nie umiał.

— No, miałeś mnie pan wsadzić na konia — za-

wołała z siodła już Traubsohnowa po francuzku,— pójdzże przynajmniej skrócić mi trochę strzemię. Piękny z pana *cavalier servente!*...

Nie spiesząc się zbytnio, podszedł na jój wezwanie i roztargniony zaczął szukać sprzączki u rzemienia przy siodle. Traubsohnowa niby z roztargnienia końcem swego lakierowanego bucika oparła się o jego ramię, gdy się nachylił, ale nie zważała na to, czy też umyślnie nie chciał zwrócić uwagi.

Sammetówna z klusa przeszła w galop, jakby jój coraz gwałtowniejszego ruchu było potrzeba.

Trzy inne konie w środku maneżu zaczęły się niepokoić i parskać nozdrzami.

— Malcia, nie waryuj! — ostrzegła ją podniesionym głosem Traubsohnowa, — czy ty masz ochotę koniecznie dzisiaj kark sobie skrócić?...

W tój chwili dwie nowe amazonki weszły naraz do maneżu z przyboecznej garderoby, Fiolkiewiczowa z Leosią i piskliwymi głosami po angielsku zaczęły opowiadać siostrze, że jednej z nich pękł gorset, a drugiej się wydarzył wypadek z podwiązka; śmiały się przytém, że cały maneż napelnily swym chychotaniem i wykrzykami.

— Barberine!... żebyś ty wiedziała — wołała Leosia na całe gardło, — żebyś ty wiedziała, co ja ci powiem, nie!... to paradne. Jak się pan miewasz, panie Bernardzie?... — podała mu rękę do uścisku po mężku, podnosząc trochę łokieć i prawe ramię w górę. — Ach, żeby pana tu nie było, Barberine!... zarazbym ci opowiedziała... to doskonale, to kolosalne!... cha, cha, cha!... cha, cha, cha!... o Boże, ja nie będę mogła wsiąść na konia ze śmiechu!...

Sammetówna wstrzymała swego wierzchowca na drugim końcu maneżu i z dyszącą pierśią, z gorącymi rumieńcami na policzkach, wypoczywała, starając się zrozumieć cośkolwiek z luźnych wyrazów i zdań swych przyjaciółek.

Bernard tymczasem pomagał już wydstać się na siodło Fiolkiewiczowej, od której bił silny zapach perfumowanych saszetek, jakie wkładała zawsze za gorset, ilekroć jeździła konno, albo szła na bal.

— Tylko proszę mnie dobrze trzymać,— mówiła do Sandsteina, ściskając go za rękę, — bo ja się zawsze boję, abym nie wywróciła koziołka na drugą stronę, a już jak spaść, to przynajmniej z dobrego konia, prawda?... ale nie z takiego w ujeżdżalni.

Do maneżu wszedł młody berajter w łosiowych pantalonach, granatowym rajtroku, cylindrze na głowie i z laską angielską w ręce; był to przystojny chłopak, doskonale zbudowany, z czerstwymi policzkami, przy których jakby nalepione, czerniły się małe, krótkie baczki, obok dużych, niekształtnych uszu.

— A, pan Abell — zawołała na jego widok Leosia po niemiecku,— gdzie to pan dzisiaj się zapodział?... nie było komu wsadzić nas na konia; — żeby nie pan Sandstein!...

Berajter po kawaleryjsku uderzył piętą o piętę i uklonił się z militarną elegancją byłego wachmistrza od dragonów każdej z dam, wyszczerzając przytém w uśmiechu jowialnym dwa szeregi białych i zdrowych zębów.

— Patrz-no moja droga, jaki on dziś przystojny! — odezwała się Traubsohnowa do siostry, spoglądając na Abella okiem znawczyni, ale wymówiła te słowa umyślnie tak głośno, aby doszły do jego uszu.

Ex-dragon pokręcił czarne wąsiki i podziękował za tę pochlebną uwagę uprzejmym ukłonem.

— *In Reil' und Glied meine Damen, wenn ich bitten darf!*... — zakomenderował jednak zaraz energicznie, głosem podniesionym, wyciągając się jakby przed frontem i wystawiając swą wysmukłą pierś na większy podziw trzech sióstr, które dawały mu do poznania, że się im w tój pozyturze podoba.

— A pan z nami na piątego się nie zdecyduje? — spytała Fiolkiewiczowa Bernarda, podjeżdżając ku niemu.

— Prawda, miałeś pan jeździć z nami,— wtrąciła Traubsohnowa,— gdzież pański koń?...

Leosia zbliżyła się równie, wołając:

— Malciu, co ty się tam po kątach chowasz?... Chodź tutaj, będziemy losowały, której z nas pan Bernard dostanie się na rycerza.

— Niestety, czas nagli — usprawiedliwiał się Sandstein,— muszę uciekać. Bardzo żałuję, ale dziś już nie mogę!...

Stracił ochotę wmiśzania się w grono tych hałaśliwych i obcesowych amazońek, zwłaszcza po rozmowie z Traubsohnową, która przed nim zdradziła tak niedyskretnie tajemnicę Sammetówny; chciał się wymknąć jak najspieszniej, ale trzy siostry odgrażając się, że go nie puszcza, jeżeli choć przez kwadransik mały nie dotrzyma im towarzystwa, otoczyły go ze wszech stron i manewrowały tak końmi, aby mu ciągle drogę zagrażać ku wyjściu.

Śmiały się przytém i dowiepkowały w swój sposób, z niego, że zapewne obawia się sprzeniewierzyć damie swojego serca.

— No, no, wiemy coś o tём, wiemy!... nie zapieraj się pan, czarne oczy pana oczarowały!... — mówiła mu Fiolkiewiczowa, — prawda Barberine?

— Daj mu pokój, przecie widzisz, że się rumieni, jak student, — wołała Traubsohnowa, a nachylając się do niego z konia, spytała:

— Powiedz-no pan, czy to prawda, co mówią, że ona pana nie chce?... głupiaby była. Miałaby ślicznego męża.

— Co?... nie chce go? — przerwała Leosia, — *est-ce possible?*...

Malcia trzymała się ciągle zdaleka; pojedyncze wyrazy z tój rozmowy dochodziły do jój uszu i krew jój jeszcze bardziej burzyły. Twarz jój płonęła już i tak rumieńcami.

Sytuacja stawała się dla osaczonego Bernarda coraz przykrzejszą; na szczęście pan Abel zniecierpliwiony takim marnowaniem czasu i brakiem subordynacyi w swych uczennicach, a pewnie i podrażniony tём, że tak nagle odwróciła się od niego uwaga jego wielbiciela, zagrzmiął ze środka maneżu po raz wtóry:

— *Meine Damen, wenn ich bitten darf, anfangen!*... *Kreuzhimmel-donnerwetter!*... *die Zeit vergeht!*...

Bił się przytém laską po skórzanych sztylpach,

jak gdyby miał przed sobą rekrutów w rajtzułi, a nie kobiety.

Traubsohnowa odwróciła się pierwsza i zapominając w tej chwili o Bernardzie, z zachwytem niemal spojrziała na berajtera.

— Ach, jak ja lubię, gdy on się złości! — wtedy jest jeszcze przystojniejszym, bo mu się bardziej oczy świecą.

Bernard skorzystał z tego i zegnając wszystkie panie jednym ukłonem, wycofał się z maneżu, rzucając jeszcze jedno ostatnie spojrzenie na Malcie; widząc go wychodzącego, ściągnęła brwi, schyliła głowę z miną jakąś surową i smutną, jakby miała za chwilę rozplakać się, potem uderzyła konia swego szpierzutą i odwróciła się umyślnie, aby nie widzieć jego ukłonu na pożegnanie.

Przy wyjściu z bramy zetknął się Sandstein z młodym Feingussem, który w towarzystwie dwóch znanych gogów ze złotej młodzieży i jakiegoś wojskowego, wchodził do ujeżdżalni.

Józio sprowadzał „galeryę“ na lekye konnej jazdy, aby siostron nie przykrzyło się bez męskiego towarzystwa.

Od chwili, gdy wyszedł z maneżu, Bernard nie mógł pozbyć się myśli, która go prześladowała uparcie o tym przypadkowym spotkaniu z Feingusówkami i Sammetówną; wiedział, że rodzice zawsze niechętnym okiem patrzali na znajomość jego z Traubsohnową i jej rodziną, co do Sammetów miał nawet wprost zalecone przez ojca, nie zbliżać się i nie wdawać w żadne stosunki z domem byłego współnika firmy.

— To nie dla ciebie sfera, — powtarzała mu matka, nie tłumacząc się jaśniej.

W ogóle obawiała się dla syna wpływu i częstszego zetknięcia z Feingussami, zwłaszcza od czasu, gdy poznanie z Lanieckimi i Tola, podsunęło jej całkiem inne plany co do Bernarda.

Obawy te były płonne; syn jej i tak bardzo rzadko znajdował sposobność zbliżania się do owych niebezpiecznych pań, a sam tej sposobności nie szukał nigdy; raziło go zbyt poufale i obcesowe traktowanie ze strony trzech sióstr, o których wiedział, że „ciągną“ do siebie każdą nową zdobycz i poszukują coraz nowych niewolników.

Jednak owych kilka słów usłyszanych z ust Traubsohnowej, inne światło rzuciło mu nagle na Malcie; zestawiając z niemi jej pomieszenie przy spotkaniu w poczekalni, jej omdlenie chwilowe, wszystkie jej spojrzenia płochliwe a gorące, na które dawniej nie tyle zwracał uwagi, wreszcie całe zachowanie się jej w maneżu, doznał dziwnego wrażenia, z którego sam sobie sprawy zdać nie umiał.

Więc ta Malcia, z którą się nieraz czubił, gdy byli dziećmi, z którą uczył się tańczyć i bawił się, gdy już uczniowski nosił mundurek, ta Malcia, która rozrosła się tak i wypiękniała, była w nim „zadurzona po same uszy?!...“

No, no!... to jednak dziwne, że się sam na tym nie poznał, iż tego dotąd nie zauważył, — zresztą, eoby mu z tego przyszło?...

Tłumaczył sobie, że to odkrycie nie wiele go dzisiaj obchodzić powinno, że nie mogło mieć dla niego żadnego znaczenia przy stosunku jego ojca z dawnym współnikiem, a jednak Sammetówna stawała mu ciągle przed oczyma, nawet wtedy, gdy patrzył na Tolę i zdawał się zatapiać w niej wzrok z zadumą gwobra, wpatrzonego w słońce.

Mimowoli przychodziły mu na myśl porównania między pięknoscią dystygowaną tej córki arystokratycznego rodu, błękitnej krwi, wytwornej sfery, a tamtą, bujną we wdzięki, dzikie trochę, ale pociągające jakąś wschodnią zmysłowością rasy, do której sam należał.

I rozmyślał dalej nad tym kontrastem dwóch kobiet, pomiędzy którymi los go postawił niespodzianie, z których jedna za ledwie mu się zdobywać pozwalała, druga zaś zdobyć go pragnęła tak gorąco.

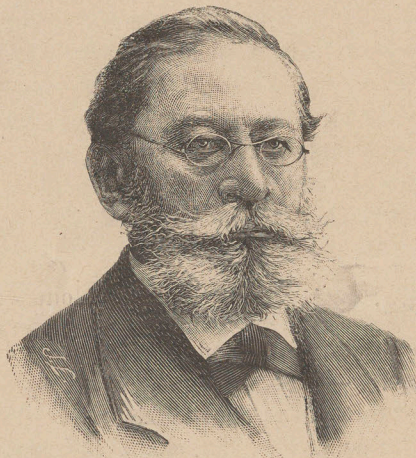
Ta i tamta, — do tej popychano go nieustannie, swatano gwałtem, przekonywano, podmawiano i narażano na cały szereg drobnych upokorzeń, po których miał ostatecznie dojść do celu; tamta wabiła go sama, drżała na jego widok i nie śmiała zbliżyć się zanadto w jego obecności.

Od tej wiał chłód lodowca, od tamtej buchał żar wulkanu.

Wszystkie te różnice zaostryły się nagle dla niego, odkąd mu przypadek dostarczył materiału do porównań i wtedy Tola ze swą dystygowaną obojętnością, zimną, wyniosłą, znosząca go za ledwie obok siebie, wydała mu się jeszcze bardziej niedostępna.

Myślał o tym wszystkiem i rozważał, wpatrując się w twarz swojej przyszłej narzeczonej.

Dokoła niego wznosił się gwar salonowej rozmowy, w którym rozróżniał pojedyncze głosy, chwytając pojedyncze zdania i wyrazy, ale nie wiele się niemi zajmował.



Tadeusz Chrzanowski.

(Artykuł na str. 189-jej).

Machinalnie oczy jego kierowały się ciągle w stronę Toli, jakby w tym punkcie znajdował dla swoich spojrzeń ognisko najwłaściwsze.

— *Regardez chère comtesse,* — usłyszał za sobą głos ciotki i spojrzawszy w tej chwili w przeciwległe lustro, zobaczył, jak nachylając się ku Lanieckiej, pokazywała go jej znaczącym gestem; — wpatruje się w nią, jak w słońce, oka z niej nie spuszcza. *Il est amoureux, comme...*

Nie dosłyszał dalszego porównania, ale uczył, że mu krew uderzyła do twarzy; wiedział, że to o nim była mowa, ale to zapewnienie ciotki tak stanowcze co do jego zakochania, zawstydziło go czegoś w głębi duszy.

Miłość?... co to jest miłość?... co one, kobiety, jak Vossowa, Laniecka, lub jego matka rozumieją pod tym wyrazem: „zakochany?...“ Zapewne to, że młody człowiek asystuje młodej osobie, trzyma się przy jej boku, wpatruje się w nią jak najdłużej w salonie, i ma ochotę z nią się ożenić.

Tak, ale jeżeli stoi nieopodal dlatego, że go tam postawili, jeżeli się zbliża dlatego, że mu to ciągle przypominają; jeżeli niby słucha a myśli o czém innem, jeżeli patrzy na kogoś machinalnie z pozor-nem zajęciem, a temi samemi oczyma widzi postać czyją inną... wtedy co?...

Przechylił głowę i spuścił wzrok ku ziemi.

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie szederzy uśmiech Traubsohnowej, z jakim nachylając się ku niemu z konia w maneżu, spytała go:

— Czy to prawda, że ona pana nie chce?...

Uczuł, jakby ukłócie ostrzej szpilki, które go rozbudziło z zadumy i podrażniło jego próżność i miłość własną.

Te dwa króciutkie słówka „nie chce,“ wywołały w nim dziwny skutek.

Wyprostował się i podszedł bliżej ku kozetce, na której siedziała Tola, znudzona rozmową z młodzieńcem błyskającym złotym monogramem i koroną na szapoklaku.

— A cóż pan na to, panie Bernardzie? — zagadnęła go pierwsza.

— Przepraszam, nie wiem o co chodzi.

— Sądziłam, żeś się pan przysłuchiwał od początku tak pilnie naszej dyskusji z panem Szliskim, — odparła z wyrazem zdziwienia.

Szliski poprawił binokle i przez ramię spojrzął na młodego Sandsteina.

— Pan Sandstein — rzekł, — nie będzie miał w tej sprawie wyrobionego zdania, bo nie pamiętam, abym go choć raz widział na balecie. Mówiliśmy o ostatniej owacy, jaką zrobiono pannie Trampi; pan słyszał co o tém?... Mój przyjaciel, hr. Kocio Piastek, który się zachwyca włoską prima-balleriną, ofiarował jej wspaniałą bukiet, coś przepyszniejszego!... *imaginez vous*, tuberozy w fiolkach, a dookoła same Marechale Niel; — to jeszcze nie, ale szarfa, szarfa!... wpadł na pomysł, którego mu prawdziwie zazdrościć. Proszę sobie wyobrazić, miał jakiś stary pas słucki, antyk, coś cudownego, podobno po pradziadku jakimś czy prababce, już dobrze nie wiem, i tém związał kwiaty dla panny Trampi. Co?... pyszny pomysł, *n'est ce pas?*... hm?... to rozumiem, to szuk!... A pani właśnie bierze mi to za złe i raczy utrzymywać, iż to marnotrawstwo. *Que dites vous monsieur Sandstein?*...

Bernard wzruszył ramionami i z uśmiechem odrzekł:

— Zdaje mi się tak samo, że podarunek nie był stosowny dla baletniczki. Panna Trampi byłaby wolała gotówkę.

Szliski poruszył się niecierpliwie.

— *Mais non*, tu nie o to chodzi — zaczął, — tylko o sam pomysł, *qui était*, mojem zdaniem, *superbe!*... Pani mówi, że trzeba rozróżniać talenta, które się wieńczy, *decidément!*... Ale ja twierdząc, iż panna Trampi ma tyle talentu w swoich nogach, co Patti w swoim gardle, a jakiś Siemiradzki, czy kto tam w rękach...

Tola zachnęła się z oburzeniem.

— Ależ panie, panie Szliski!... tego słuchać dalej nie można. Nie zrozumiemy się nigdy na tym punkcie.

— Dlaczego?... ja podejmuję się przekonać panią, — skonfundowany trochę bronił się przyjaciel hr. Kocia, lecz Tola podniosła się szybko z kozetki i odchodząc, z wyrazem wcale niedwuznacznym lekeważenia przerwała mu:

— Żalby mi było pańskiego czasu i wymowy.

Szliskiemu aż spadły binokle z nosa; poczerwieniał, jak rak i zwracając się do Bernarda, rzekł:

— A to gaska!... prawda?...

Myślał, że znajdzie w nim poparcie swęj obrazonej miłości własnej, ale usłyszał niespodzianie wręcz przeciwną odpowiedź:

— Czy dlatego, że nie podziela cudzego głupstwa?...

Szliski podniósł się, jak na sprężynie.

— *Monsieur Sandstein!*...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z NIZIN SANDOMIERSKICH.

(Sprawozdanie specjalne korespondenta „Tygodnika ilustrowanego“).

Według otrzymanych wiadomości, pewną część Królestwa, a mianowicie najżyźniejszą okolicę sandomierską nawiedziła powódź. Względnie łagodna zima pozostawiła jednak po sobie dotkliwie ślady, niszcząc pracę i dobytek ludzki na znacznej stosunkowo przestrzeni. Sprawozdanie naszego korespondenta, który zwiedził dotknięte klęską okolice, brzmi wcale niepokojąco z uwagi, iż powtórna katastrofa w zupełności zażegnana nie była i lada chwila spodziewaćby się można jej powtórzenia:

„Historia zalewu wspomnianych miejscowości przedstawia się nieomal tragicznie.

Jak wiadomo, podczas tegorocznej zimy temperatura była nader zmienną: po mrozach następowała odwilż, po odwilży znowu mróz i t. d. W styczniu r. b., po dość silnych mrozach, które wywołały zamrażanie Wisły w kilku punktach, a pomiędzy innymi i pod Sandomierzem, w końcu tegoż miesiąca lody pod Krakowem ruszyły, w dole jednak poniżej Sandomierza zaparły się, czyli uformowały t. zw. zatór. Nie mając swobodnego przepływu przez koryto rzeki, kra zwróciła się na lewy brzeg, należący do Królestwa, zabezpieczony na długości kilkunastu



BOGORYA.

strolęgę, Zajezerze, Bogorya, Skotniki, Zarzecze, Kamieniec, Swierzęc, Ciszyce, Łukowiec, Skrzypaczowice, Kępę Krzeińską, Krzein, Radoważ, Przywłokę i kilka innych, liczących około 4,000 mieszkańców. Naoczni świadkowie zalewu opowiadają, iż trudno wyobrazić sobie popłoch, jaki powstał w tych wioskach, pełnych zwykle życia.

Komunikacja ze światem została prawie zerwaną, w wioskach zapanowała cisza, którą tylko przerywał szum fal, pokrywających pola i łąki.

Na wieść o wylewie pospieszyli z pomocą: p. gubernator radomski r. r. st. Majlewski, naczelnik powiatu Sandomierskiego p. Duborg, księża proboszczowie miejscowych parafij i właściciele wiosek.

Nie na tém wszakże miał się skończyć zalew; po kilku dniach pojawił się mróz i ogromne jeziora zamarzyły. Okoliczność ta chwilowo poprawiła warunki; opuszczono strychy i zajęto się wyrąbaniem lodu z zewnątrz chałup i zabudowań. Podściółka ze słomy i siana nie usunęła jednak wilgoci, tak niezdrowej dla organizmu ludzkiego. Biedni mieszkańcy, oglądając pokryte lodem zasiewy (oziminy), nie bez racyi z płaczem wspominali, iż praca ich poszła na marne.

Zaledwie po owęj katastrofie wszyscy ochłonęli z przestrachu, w kilkanaście dni później nastąpił drugi wylew, groźniejszy od pierwszego. A stało się to d. 26-go lutego r. b., skutkiem odwilży i napływu nowej wody z góry rzeki, któ-



Z POD KRZCINA.

ra, nie mając swobodnego przejścia pod Sandomierzem, zwróciła się na wspomniane powyżej wsie. Lody płynące z nową wodą powiększyły zatór pod Baranowem, a nadto po stronie galicyjskiej przewały również wały i zalały kilka wiosek.

Musiano znowu dla bezpieczeństwa opuścić izby i przenieść się na strychy, komunikacja pomiędzy wioskami została zupełnie przerwana, a w dodatku silne śnieżne zawieruchy i wiatry powiększały grozę nieszczęścia. W niektórych wsiach mieszkańcy przez kilka dni pozostawali bez pożywienia, dostać się bowiem do nich było niepodobniestwem; dopiero kiedy i druga woda na pierwszej zamrzła, sytuacja się polepszyła. I znowu powtórzyły się sceny z pierwszego wylewu. Wyrąbano lód z izb, naprawiano nadpsute okna, ściany, drzwi, zabudowania i t. d.

Niepodobna jednak przewidzieć, czy smutna ta „awantura lodowa“ skończy się na dwóch zalewach. Zatór na Wiśle stoi, a ogromem swoim przewyższa wszystkie detychczas bywałe. Długość jego wynosi od wsi Bożydar do Bogoryi wiorst 18, a następnie od Bogoryi do Baranowa wiorst 14. Ponieważ ponowny przybór w d. 26-m lutego zalał stojącą powłokę lodową na cztery stopy wody, która znowu zamrzła, grubość więc lodu jest bardzo znaczną, a jak nawet utrzymują, w niektórych punktach zajmuje on całe koryto rze-

wiorst od Wisły wałami ochronnymi. Słabą to jednak dla rozszalałego żywiołu stanowiło przeszkodę: woda z kra, parta silnym prądem wezbraną falą, przedarła owe wały w kilku miejscach, zatapiając niziny sandomierskie: koprzywnicką, skotnicką i samborzecką, posiadających po kilkanaście wiosek.

Dołączony poniżej plan wyjaśnia całą tę smutną historią.

Zatór lodowy uformował się na przestrzeni od wsi Bożydar, położonej niedaleko ujścia Sanu, aż do wsi Bogoryi. Kilka godzin wystarczyło, aby obszar, obejmujący około 70 wiorst kwadratowych, zamienił się w jedno wielkie jezioro. Bryły lodu obrzuciły wał (oznaczony na planie drobnymi kreskami) i przedostały się nawet do wiosek, poziom bowiem wody na głównym korycie rzeki dochodził wówczas do 16 stóp.

Zalew ten wydarzył się d. 2-go lutego r. b. i objął: przedmieście Sandomierza, Zawisele, następnie wsie: Koćmierzów, Zawierzbie, Zołta, O-



PLAN ZALANYCH OKOLIC.

ki aż do dna. Rozbicie takiego kolosu przy pomocy prochu i dynamitu uznano za niemożliwe; postanowiono czekać, aż deszcze lub gwałtowna odwilż nie usuną zapory. Nie można zatem powiedzieć, że niebezpieczeństwo minęło, to też w kilku wioskach właścianie naprawę uszkodzonych chat i zabudowań odłożyli do czasu uregulowania się wody w korycie Wisły.

Powracając jeszcze do opisu, objaśniamy, że zacieniowana na planie liniami przestrzeni przedstawia właśnie dotknięte wylewem miejscowości. Szerokość tego pasu wynosi od brzegu Wisły do Koprzywnicy wiorst 6, do wsi Samborzec wiorst 4½, do wsi Złota wiorst 2½. Pasma gór, oznaczone również na planie, stanęło na przeszkodzie dalszemu pochodowi fal i lodów, inaczej wylew objąłby daleko większy obszar.

Podeczas drugiego przyboru, woda zalala też wsie położone wyżej Długoleki, a mianowicie: Lipnik, Łęk Osiecki, Sworzeń, aż do wsi Niekurza, po upływie jednak 48-iu godzin ustąpiła.

Za uczynioną doraźną pomoc powodzią, pozabawionym w pierwszych chwilach strawy, należy się szczerze uznanie zwiedzającym osobiście zalane domowstwa, proboszczowi parafii samborzeckiej, ks. Kajetanowi Kwitkowi, skotnickiej ks. Józefowi Mackiewiczowi, koprzywnickiej ks. Julianowi Wosińskiemu, św. Pawła w Sandomierzu ks. Wawrzyńcowi Szubartowiczowi, a również właścicielom wiosek p. Wiktorji Popielowej, Kazimierzowi Wąsowiczowi, Maxymilianowi Skotnickiemu, Albinowi Rudzkiemu, którzy pierwsi na wieść o klęsce pośpieszyli z darami w naturze, chlebem, kaszą, solą i t. p.

Obecnie ustanowione zostały przez p. gubernatora radomskiego komitety pomocy, pozostające pod przewodnictwem proboszczów, do których zaproszono przedstawicieli miejscowych władz i obywateli. Komitety rozwinęły już swoją działalność.

C. B.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Manfred,” dramat w 4-ach aktach Byrona, muzyka Roberta Schumanna. Z oryginału przełożył i do sceny zastosował Gabryel Kempner.

Z potężnej biblioteki napisanej o Byronie, w czasach zwłaszcza, gdy naśladownictwo jego stało się szkołą nie tylko w literaturze, lecz i w obyczajach, można z łatwością wybrać kilka wskazówek charakterystycznych tego genialnego pisarza i wszystkie prawie jego utwory. Subiektywizm posunięty do najwyższego stopnia, osobistość poety, jego uczucia, marzenia i ambicje, ubrane w fabułę wielce dramatyczną i wielce jaskrawą, i w takim zawsze połączeniu, iżby dać pole do najczarniejszych domysłów o nim samym, oto rzechy można, metoda Byrona. Wypowiedziawszy w genialnym „Don Juanie” wojnę zaciekle swym rodakom, słynnym z pedantyzmu, z trzymania się najściślejszego obłudnych form, zwanych w Anglii pod technicznym wyrażeniem *cant*, porzucił istotnie niewdzięczną ojczyznę, ażeby zginąć prawdziwie po bohatersku.

Jako malarz uczuć melancholijnych i wzruszających, niema może równego sobie, tak, jak nikt nie przewyższył go w druzgocącej ironii w nieśmiertelnych strofach „Don Juana,” które naśladował Słowacki w „Beniowskim,” a przedtem jeszcze Ryszard Berwiński.

Bohaterowie Byrona znajdują się zawsze w walce z okropnościami, z burzą, ze śmiercią, z wyrzutami sumienia, z przestrachem przed ciemną wiecznością, a nie mają nic na swój ratunek, oprócz własnej siły woli i nieugiętej pychy. Nie przyjmują żadnej pomocy z zewnątrz, gardzą nią, bo własna ich duma i samoświadomość starczy im za wszystko.

Wręczdzie tych kreacji, zajmuje jedno z pierwszych miejsc „Manfred.”

Pani Bardzka, streszczając na tém miejscu tom pracy pani Sand o Goethem i Byronie, i „Historja literatury angielskiej” Taine’a, wyreczyła nas poniekąd w zadaniu. Wiadomo więc już naszym czytelnikom, że Goethe wyraził się z zachwytem, iż Byron „wziął mu Fausta,” i że Byron zaklął się, iż nie umiał weale po niemiecku, tylko że mu go przełożył Mathew Levis w r. 1816-ym.

U Goethego Bóg, Mefisto i aniołowie są to tylko abstrakcyjne, poza któremi ukrywają się idee filozoficzne. Wobec nich, nadnaturalny Manfred wynosi ze wspaniałych lodowców Alp tylko obrazy, a jego czarownice, duchy, Ahriman są bogami teatralnymi, jak słusznie twierdzi Taine. On sam nie wierzy w nich, i widz także. Zostaje tylko sam poeta, i to w osobie głównego bohatera. Wszyscy inni, którzy się do niego zbliżają, są tylko na to, ażeby mu dawali odpowiedzi na jego zapytania i ażeby „przez tę pozorną epopeję mógł się utrzymać w swym wiecznie trwającym monologu.”

Lecz poza tém, Manfred to człowiek, Faust zaś wiecznie w niezgodzie z sobą, staje się dla nas niewyraźny, brak mu charakteru. Manfred nie daje się żadnemu Mefistofelowi prowadzić na pasku, góruje nad wszystkimi potęgami; panuje nad innymi i umie zapanować nad sobą samym. Kochał wiele, może siostrę swoją (przyrodną), ona zaś umarła, ztąd i wyrzuty sumienia zapewniły tak jego duszę odtąd, że niczem ludzkiem więcej zająć się już nie może. Raz jeszcze chce zobaczyć tę ukochaną Astarte: „Kochałaś mnie zanadto — woła — tak, jak ja ciebie. Nie byliśmy stworzeni dla siebie, ażeby się wzajemnie dręczyć... powiedz, że będziesz szczęśliwą, a umrę.”

Mieszkańcy piekła podniecają go mówiąc, że gdyby był jednym z nich, byłby straszny. A tę potęgę daje mu tylko własna wola, jęć siła.

Geniusz więc i złe duchy nie ustraszają go w przedśmiertnej chwili, bo czuje on w duszy taką mękę, że żadne inne udręczenia nie do niej dodać nie mogą, a wreszcie „dusza nieśmiertelna jest sobie sama nagrodą lub karą.”

Manfred jest raczej poematem, aniżeli dramatem, bohater sam, jest tylko główną osobą od początku do końca. Nie chce on, jak Faust, skarbnicy wiedzy i nauki lub rozkoszy, ale zapomnienia zbrodni, której poeta, jak już rzekłem, dokładnie nie oznacza. Nie pomogą mu nadziemskie potęgi, bo go gnębią wyrzuty. Już zrozpaczony chce się rzucić ze szczytu Alp, gdy go ratuje strzelec. Później w dolinie, spotyka „królową Alp,” a ona pochlebia sobie, że go pocieszy jeżeli tylko będzie jęć posłusznym, ale on nie chce i nie umie być nikomu posłusznym. W ostatniej chwili odrzuca i pomoc duchowną opata, chociaż umiera na jego rękach z temi pięknymi słowy: „Wiedz stareze, że śmierć nie jest tak straszna.”

Co tu podniecało wyobraźnię współczesnych, to niezmierna siła w obrazowaniu wyrzutów, jakie sobie czyni w nieokreślenie tajemniczej zbrodni. Fama mówiła wówczas, że mąż zamordował we Florencji swą żonę a kochankę Byrona; dopiero później dowiedziono, że nie był jeszcze wtedy Byron we Florencji, kiedy wydał swój poemat. Inni dopatrzili się w Astarte przyrodniej jego siostry. Bądź co bądź, Manfred, jako dzieło twórcy romantyzmu, jest w tym zakresie mistrzowskim.

Wprowadzenie go na naszą scenę nie jest o tyle spóźnionem, o ile nigdy dzieło genialne, stojące dzisiaj zwłaszcza, już poza wszelką szkołą, spóźnionem być nie może, więc i reżyserja, przypominając się publiczności w ten sposób, spełnia pięknie swój obowiązek.

Czy jednak nadaje się on dla sceny? Czy pomimo słynnej muzyki Schumanna, świetnej dekoracji i wystawy, zdobędzie sobie powodzenie trwalsze? Wątpimy stanowczo i nie tu nie pomogą pogardliwe deklamacje o całym współczesnym repertuarze na korzyść chwili. Repertuar współczesny przedstawia życie współczesne, mające prawo bytu i rozwoju; czczemi przeto frazesami obalać go, dowodzi tylko płytkości i chęci argumentowania, nie w imię rzeczywistej prawdy, ale ubocznych, nie wspólnego z literaturą nie mających celów.

Zapewne, że Niemcy uscenizowali nawet drugą część Fausta, ale oni nie wahają się przedstawiać i trylogii Sofoklesowskiej, a równocześnie dbają o sztuki realistyczne i mają nawet teatr wolny, na wzór teatru paryzkiego p. Antoine. Wszystkie mają pe-

wną racją istnienia, daczegożby u nas tylko, każda nowo wystawiona rzecz miała spychać inną, dlatego tylko, że nowa?

Brak bezstronnej krytyki w tych razach daje się uczuwać dotkliwie.

Przekład, dokonany przez p. G. Kempnera, jest wierny i poprawny, w przedostatniej odsłonie istotnie poetyczny. Trafnie też przerobił dramat dla sceny.

Co się tyczy współdziału artystów, ten nie był zbyt wielki z natury już samego poematu. Znakomicie wszakże spełniła swe zadanie pani Rakiewiczowa, jako Nemezis, doskonale p. Narkiewicz (strzelec), a także p. Noiret (królowa Alp), daczego jednak panna Marcello (Astarte) drżącym i śpiewającym głosem, przypomina dawną kochankę Manfreda? Dykcja ukochanej niegdyś kobiety, tu właściwszą. Z wielkim majestatem ruchów i słowa odegrał rolę opata p. Ładnowski.

Tryumf wszakże prawdziwy święcił p. Kotarbiński, jako Manfred. Głos jego metaliczny, doniosły, wydatniał z wielką maestrią wszelkie psychiczne momenta duszy targanego niepokojem bohatera, a w chwili konania, jako i przedtem w chwili inwokacji, w przybytku Ahrimana, stanął najzupelniej na wysokości zadania, tak trudnego i prawie, zdawałoby się, niemożliwego w tego rodzaju utworze. Charakterystyczna też jego na podobiznę Byrona harmonijnie spływała z całością poetycznie odtworzonej postaci. Dodać potrzeba, że niepospolitej trzeba siły głosu, ażeby przez półtrzęcię godziny nie osłabnąć ani na chwilę, a co ważniejsza, nie znużyć monotonią nieustannego prawie monologu.

Edward Lubowski.

NASZE RYCINY.

Zima. Nazwisko Stanisława Rejchana nie jest obce czytelnikom naszym; w ostatnich czasach mieliśmy sposobność przypominać je niejednokrotnie na kartach „Tygodnika,” — czynimy to ponownie w numerze niniejszym, podając poetyczny w pomysł a wdzięczny w wykonaniu rysunek naszego artysty na str. 184-jej. Rysunek ten jest pewną aktualnością w bieżącej chwili, na początku kalendarzowej wiosny, gdy zima powinna ostatnią grudkę śniegu rzucić i zwinąć swe białe namioty, jak to czyni jęć uosobienie, stworzone ręką malarza na obrazku. Czy wszelako w naturze rzeczywiście zima zdecyduje się tak samo pożegnać nas ostatnią garścią śniegu i ostatnim mroźnym podmuchem, trudno przewidzieć nawet meteorologom, którzy zapowiadają wprawdzie wczesną i ciepłą wiosnę, ale wiadomo, iż aura nie troszczy się o kalendarze i przepowiednie.

Nowicyuszka. José Benliure y Gil, to jeden z najznakomitszych współczesnych malarzy hiszpańskich, którzy chlubę swęj sztuki stanowią. Podawaliśmy już nie raz reprodukcje jego obrazów i wzmianki o nim w osobnych artykułach. Dość zresztą spojrzeć na rycinę, aby nabrać pojęcia o niepospolitym talentcie i technice hiszpańskiego artysty, który z takim realizmem, z takim drobiazgowym wykończeniem, z taką wyborną wreszcie charakterystyką każdej figury maluje swoje obrazy, podziwiane dzisiaj na wszystkich wielkich wystawach sztuki w Europie. Treść obrazu sama się tłómaczy.

Odpowiedzi od redakcyi.

— *Pani Stefanowi Cz. w K—ce.* — W zupełności uznajemy słuszność uwag pańskich co do polemiki między pismami i przyklaskujemy gorąco zacnyra myśłom sz. pana.

— *Pani L. P. w Krakowie.* — Wiersze sz. pana nie zachowują ściśle formy sonetu, rytmika nie wszędzie jednako staranna, natchnienie mogłoby być górniesze i lotnieszze. Może się w pańskiej tece znajdują lepsze utwory?

— *Pani M. P. w Genewie.* — Zdolność stanowcza, uczucie w szlachetnej formie wyrażone, radzimy pisać dalej. Liryzm zdaje się być najodpowiedniejszym rodzajem dla talentu pani. W przyszłości znowu coś zamieścimy.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.



Dwa stanowiska krytyczne.—Chełmoński.—Jego dwa ostatnie obrazy: „Szron“ i „Kuropaty.“ — „Dziewczyna przy studni“ Siemiradzkiego.—Wystawa prac ś. p. Feliksa Brzozowskiego.—Portrety A. Badowskiego i H. Piątkowskiego.

Sąd o danym obrazie—jak w ogóle o każdym dziele sztuki,—wydawać możemy z dwojakiego stanowiska: ze stanowiska krytyki t. zw. artystycznej oraz krytyki, którą pozwolę sobie nazwać: *estetyczną*. Na czém-że polega różnica tych obu krytycznych stanowisk? Oto na tém, że krytyka t. zw.

artystyczna uwzględnia jedynie niemal tylko wady i zalety wykonania dzieła sztuki, podczas gdy krytyka t. zw. estetyczna nie dopuszcza, aby artyzm był alfą i omegą dzieła sztuki: uwzględniający w niem cechy artystyczne, idzie dalej i zastanawia się nad istotą samego „czynu“ artysty, co stworzywszy dzieło sztuki, to lub owo zajął stanowisko w sztuki dziedziny, to lub owo dziełem swém chciał wypowiedzieć, te lub owe złożył w niem dążenia, uczucia, pojęcia, tém lub owém wreszcie zaznaczył łączność swoją z prądami i wyobrażeniami swój epoki lub swego społeczeństwa.

Tak np. roztrząsając malarską działalność, dajmy na to Makarta, krytyka wyłącznie artystyczna doskonale nas objaśni, w jaki sposób Makart obrazy swoje malował, jakich użył zestawień barw i światła, aby wrażenie rzeczywistości dać widzowi, gdzie upatrywać należy słabe strony jego rysunku, a gdzie podziwiać przepyszne kolorystyczne efekta; z kąd się bierze to nienaturalne złoto-rudawe zabarwienie jego obrazów, jaką wreszcie wartość, jako malowanie, mają jego obrazy: czy w odtwarzaniu tych scen lub owych jest szczerłość, czyli też konwencyonalna maniera, czy opanował on dostatecznie wszędzie technikę malarską?... W ślad zaś za tém ma jeszcze prawo głos zabierać krytyka estetyczna, wykazując np. łączność Makarta z Rubensem, rozważając dzieła jego, jako objaw ogólnych dążeń i smaków w zachodniej Europie z drugiej połowy wieku naszego, zestawiając tematy jego obrazów i sposób traktowania tych tematów ze współczesnymi prądami w innych dziedzinach życia umysłowego i artystycznego, kładąc nacisk na wpływ, który makartowskie orgie i przepychy wywarły na smak i upodobania choćby tylko stolicy naddunajskiej, zapatrując się wreszcie na Makarta, nie jako na członka jakiejś konfraternii wtajemniczonych w niezrozumiałą, niedostępną dla profanów, uprawianą tylko przez wybranych „kunszt malarski“, ale jako na dziecięcia wieku, którego życia czynem był—obraz.

Czy wystarcza rozpatrywanie tego lub owego obrazu wyłącznie tylko ze stanowiska krytyki artystycznej? Niezawodnie, w wielu razach wystarcza. Dlaczego? Dlatego, że w ostatnich zwłaszcza czasach pojawiła się niezliczona ilość obrazów, które są niczém więcej, jeno uprawianiem sztuki dla sztuki, w których artyzm malarski jest dla ich twórców celem jedynym. Krytyka artystyczna dla takich obrazów najzupełniej wystarcza, a dla krytyki estetycznej zgoła niemasz w nich materiału.

Cheć natomiast stosować zawsze i wszędzie li tylko krytykę artystyczną, znaczyłoby to samo, co mówić np. o gotyckich gmachach, ograniczyć się na dokładnym określeniu ich rozmiarów, stosunku pojedynczych części do całości, oraz wyliczeniu składowych części materiału budowlanego. Znaczyłoby to dobrowolnie stawiać „gotyk“ na jednej linii z wiejskimi lepiankami, znaczyłoby to pomijać całe olbrzymie znaczenie jednego z najdonioślejszych objawów sztuki pięknej, architekturą zwaną.

Krytycy artystyczni, zapatrujący się na obraz, jako jedynie na okaz prawidłowej lub wadliwej gry światła i kolorów, linii i plam, posuwający się najdalej do twierdzenia, że takie lub owakie namalowanie obrazu jest zależnym wyłącznie od fizjologicznego ustroju oka artysty, zaś takie lub owakie wrażenie, które obraz na nas, widzów, sprawia, jest znowu zależne od fizjologicznego ustroju oczu naszych, powołują się chętnie na tych nieestetyków wcale, jeno — fizjologów, którzy, nawet obojętni zupełnie dla sztuki, potrafili jednak znakomicie określić, w czém dany obraz szwankuje, a co znowu, jako malowanie, jest w niem doskonałego. Prawda; teoria barw, fizjologia oka ludzkiego, perspektywiczne matematyczne pewniki poznane dokładnie, mogą wybornie przygotować do „poznania się“ na wadach i zaletach obrazu. Obraz przecie, niezależnie od znaczenia, które mu kry-

tyka estetyczna przypisuje, jest wszak taką rzeczą, w której ważną rolę odgrywa i harmonia barw, i farb zażycie, i poczucie oka malarza, i matematyczne lub intuicyjne rozłożenie planów. Ale — oto jeden z najwybitniejszych tych właśnie koryfeuszów nauk ścisłych, którzy na ich podstawie wysoce trafnie o malarskiej stronie obrazów wyrokować zdołali, mianowicie zmarły niedawno prof. fizjologii na uniwersytecie wiedeńskim, E. Brücke, sam pisze: „Wiem dobrze, że wywołać złudzenie nie jest celem ostatecznym sztuki; są nieśmiertelne arcydzieła z figurami niejako do tła przyklepionymi; wtedy rekompensatę stanowi *myśl*, stanowi *pierwiastek subiektywny*, w dziele artysty.“ („Bruchstücke aus der Theorie der bild. Künste.“ 1877).

Okazuje się przeto, że owa *myśl*, ów *pierwiastek subiektywizmu*, któremi artysta utwór swój wyposaża, nie są znowu tak małoważnymi częściami składowymi dzieła sztuki, skoro rekompensatę za uchybienia w wykonaniu stanowić mogą. Nie pójdę tak daleko, jak Brücke. Dla mnie uchybień kardynalnych w rysunku i malowaniu nie zgoła zrekomensować nie może; obraz źle rysowany i malowany przestaje być dziełem sztuki i nie warto o nim wspominać. Gdy atoli obraz, zadość czyniący wymaganiom krytyki artystycznej, ma w sobie *myśl* i *pierwiastek subiektywizmu*, ubliżeniem dla niego byłoby nie zastanawiać się nad nim ze stanowiska krytyki, którą pozwoleń sobie nazwać — estetyczną.

Był czas, że przy sądzeniu o dziełach malarskich, tę ostatnią jedynie uwzględniano — u nas. Dzięki głównie energicznym przed kilku laty wystąpieniom p. Stanisława Witkiewicza, krytyka, a — przypuszczam, — za nią i publiczność jęła baczniejszą uwagę zwracać na artystyczne, czysto artystyczne cechy obrazów. Przestano rozprawiać o „poetyczności“, „wzniosłości“ i t. p. obrazów, a górę brać zaczęły uwagi o — złém lub dobrém malowaniu. Słusznie bardzo. Sam niejednokrotnie starałem się dopomóc krytyce artystycznej do przynależnego dla niej wśród ogółu uwzględniania i poszanowania. Być może, że te wspólne nawoływania utorowały do rąk publiczności drogę niejednemu obrazowi, zalecającemu się jedynie artyzmem, będącemu dobrym okazem sztuki uprawianej dla sztuki.

I oto — jednostronność i przesada nie kazały długo czekać na siebie. Zwrot ku zachwycaniu się jedynie zaletami artystycznego wykonania bez względu na to, co wykonanem na obrazie zostało, wywołał przede wszystkim wśród malarskiej wytwórczości tutejszej nadmierne rozpanoszenie się wszelakich miernot, osłaniających płaszczykiem pogardy dla „tematu“ bezsilność do zdobycia się na istotny artyzm, oraz na wykonanie bez zarzutu. Zaroiły się wystawy nasze obrazami dalekimi od ideału krytyki artystycznej, a rzetelnie bezmyślnymi.

Nadeszła wobec tego pora przypomnieć, zwłaszcza malarzom wielu, że obok krytyki artystycznej, której praw już nikt dziś nie zaprzecza, istnieje nie przestała krytyka estetyczna, która domaga się od malarza czegoś więcej, niż bezmyślnego *powtórzenia* pierwszego lepszego zakątka lub objawu przyrody. Zapytać mamy prawo wielu malarzy naszych, gdzie w ich obrazach jest *myśl* jaka? gdzie kompozycya samodzielna? gdzie pomysł? gdzie jaki bądź *pierwiastek subiektywizmu*, okrom w pewnej indywidualnej właściwości, w sposobie kładzenia farb na płótno lub w rozświetlaniu albo przyciemnianiu obrazu?... Co nam po tém, że tego malarza obraz zawsze mniej więcej niebieski, a innego znowu zawsze brunatny, skoro ani jeden, ani drugi obraz nie jest do tego stopnia malarsko doskonały, aby pozwolił nam zapomnieć o tém wszystkim, co dzieło *sztuki* dać może, a czego obraz ten nam nie daje?

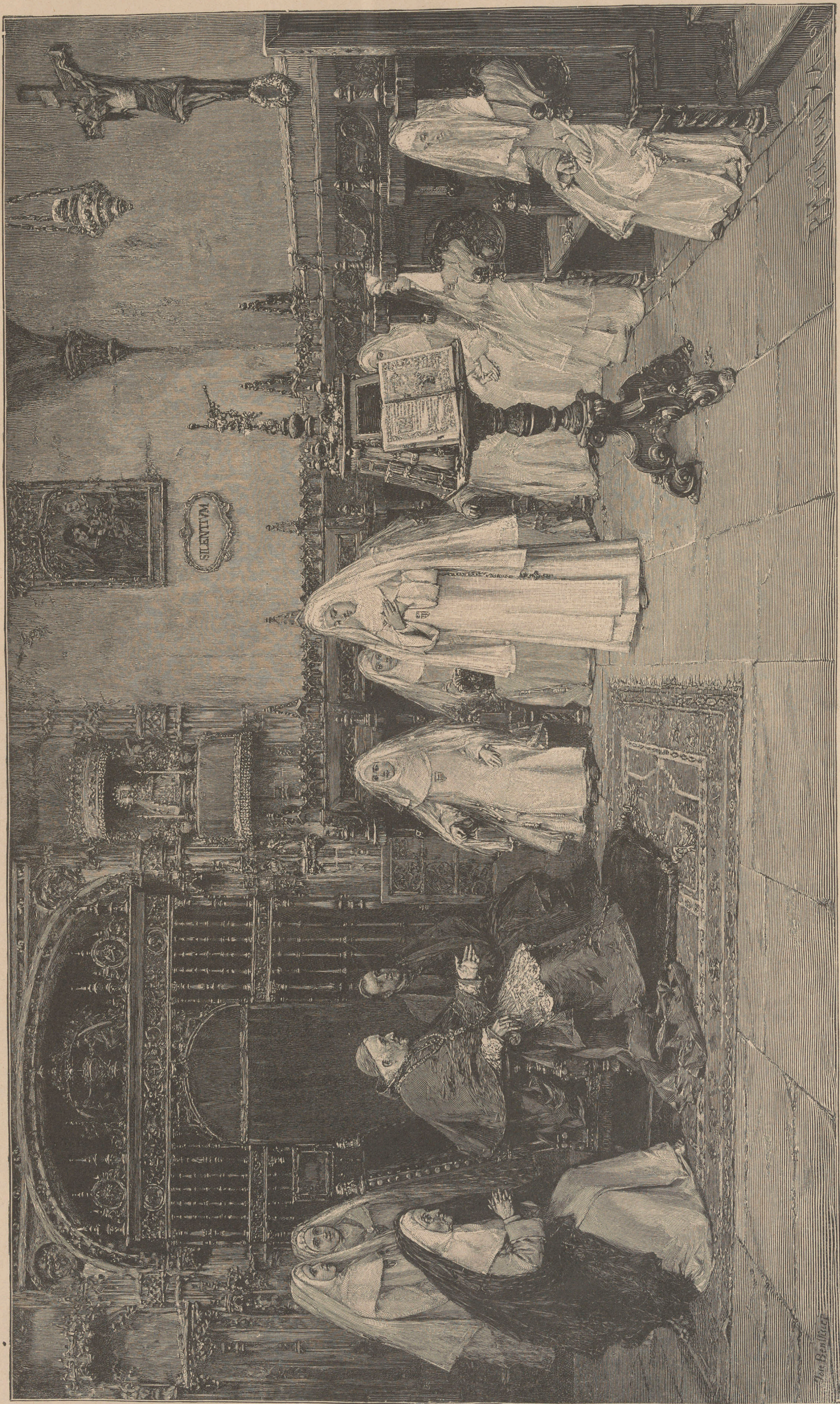
I rzecz istotnie szczególna. Na te tory wysoce — ślizkie, gdzie mały talent, tworząc rzeczy bezartystyczne i bezduszne, zdobywa sobie tylko fatalną... zarozumiałość, na te tory pchnął spory odłam malarstwa tutejszego kto?... Chełmoński, ten do szpiku kości wielki artysta i poeta duszą całą. Porzuciwszy pełne charakteru i temperamentu indywidualnego sceny, rojne typowemi ludowemi postaciami, lub rozwichrzone rozpędzonymi końmi, jał malować krajobrazy osnute na najprostszych motywach. Wspominałem o nich często dosyć na tém miejscu. Łąki bezładne i bezbrzeżne, drogi wijące się przez równe pola, ustronia nad stawami i jeziorami, moczary pastwiskowe — cała duża serya znanych z paru lat ostatnich „widoków“ Chełmońskiego przemknęła się przez wystawy nasze. Bezpośrednich i pośrednich naśladowców znalazło się sporo. Publiczność, rozchwytywająca obrazy Chełmońskiego, mimochodem lub z konieczności, zadowolala się temi kopiami. Tak, ani słowa, było w tych *à la* Chełmoński obrazach coś niecoś z właściwości jego: był motyw do ostatnich granic prosty, była na horyzoncie linia dalekiego lasu, była nieobecność żywego ducha... na jeden

STANISŁAW REJCHAN.



Z I M A.

JOSÉ BENLIURE Y GIL.



NOWICYUSZKA.

tylko mały drobiazg zdobyć się nie zdołali twórcy tych obrazów: na skończoność wykonania Chelmońskiego, na pomysłowość w wykrojeniu z przyrody lub skomponowaniu takiego oto, zda się, tak prostego „pustkowieca,” wreszcie na piętno niepowszedniego subiektywizmu, którym, jak widocznym z największego oddalenia podpisem Chelmoński obrazy swoje znaczy.

Bowiem—czego wielu malarzy naszych zrozumieć nie chce — to właśnie stanowi wielkość obrazów Chelmońskiego, że zapatrując się na nie zarówno ze stanowiska krytyki artystycznej, jak krytyki estetycznej, najżywsze tylko zawsze zadowolenie odczuwamy.

(Dok. nast.).

Czesław Jankowski.

L I S T Y Z F R A N C Y I.

(Dokończenie).

Wszystkie czasopisma, nawet poważniejsze, wspominały o tój kłecionce z pochwałami zagadkowemi dla mnie, ażem się dowiedział, że p. Perey, pani Herpin, pan Glouvet, to sławny od czasu Bulanżystowskiego procesu Quesney de Beaurepaire, procureur de la République!...

Stulecie rewolucyjne wywołało już i wywołuje ciągle dzieła o tój epoce. W ostatnim liście donosiłem o ukazaniu się trzeciego tomu „l'Europe et la révolution“ Soreta, zajmującego pierwszorzędne miejsce w historycznym piśmiennictwie o tym okresie; tu wspomnę o cennej pracy Artura Chuquet „Les guerres de la révolution,” w pięciu tomikach in 18-0. Pierwsza serya zawiera „La première invasion prussienne“ Valmy. „La retraite de Brunswick.“ Druga serya: „Jemappes“ i „La trahison de Dumouriez.“ Dzieło to raz już zostało nagrodzone przez Akademię nauk moralnych i politycznych, wielką nagrodą Audiffred'a, a nadto serya druga otrzymała od Akademii francuskiej wielką nagrodę Goberta za 1891-y r.

Sypią się, jak z rękawa, życiorysy Mirabeau. De Loménie wydaje ciąg dalszy obszernego studium, rozpoczętego przez swego ojca. Poważny sprawozdawca, Ludwik Farges, powiedział, że autor zebrał wszystkie wiadomości o swym bohaterze, jakie się zebrać dały, a wiedząc o wszystkich publikacjach w tój materii, „wyczerpał przedmiot o tyle, o ile tylko wyczerpanym być może.“ Rousse pisze też o Mirabeau, ale zbyt napuszonym stylem, co szkodzi trafnym nieraz spostrzeżeniom, bo nudzi czytelnika i odstręcza od treści; za to Mezières, w swém „Vie de Mirabeau“ skreślił jasno i treściwie żywot głośnego rewolucjonisty. Kto nie studjuje wyłącznie tój epoki, a chce mieć trafne pojęcie o życiu i pismach Mirabeau, temu, zamiast pięciotomowego dzieła de Loménie, można polecić pracę Mezières'a. Zaznaczyć potrzeba, iż obecnie ściślejsze i gruntowniejsze badania nad epoką rewolucyjną się prowadzą. Ustanowiono nawet katedrę w uniwersytecie paryzkim, specjalnie studjom tym poświęconą, a na profesora powołano młodego i zdolnego uczonego, p. Aulard'a, który już położył niepoślednie zasługi w systematycznym klasyfikowaniu i wydawaniu dokumentów do rewolucyi się odnoszących, a są ich pono całe stopy.

Do bardzo ważnych wydawnictw źródłowych, które badaczom nie małe oddadzą usługi, należą ogłaszane dokumenta z archiwów dyplomatycznych, pod tytułem: „Recueil des instructions données aux ambassadeurs,” od pokoju westfalskiego do rewolucyi i „Inventaire analytique.“ Pierwsze zawierają, jak tytuł zapowiada, rozporządzenia dawane posłom, a drugie, wszystkie bez wyjątku papiery dyplomatyczne, ale gdy pierwsze są dostowne, drugie w streszczeniu. W układzie zachowano metodę etnograficzną, zaś uporządkowaniem i komentarzami zajęli się historycy specjaliści, tak np. Alfred Rambaud zajął się stosunkami Francyi z Rosją, Larisse z Prusami i t. d.

Kosztowną i ważną publikacją jest wydawnictwo rękopisów Leonarda da Vinci, które, jak wiadomo, pisane od prawej ku lewej ręce, wyglądały na hieroglify. Do końca XVIII-go wieku zaledwo wyjątki z nich były znane; obecnie uczony Bavaisson-Mollien zajął się odczytaniem całości i wydaniem jej. Rękopisy zawierają traktaty o malarstwie, rzeźbie, architekturze, botanice i t. p. rozmaite uwagi, spostrzeżenia, notatki, figury geometryczne i t. d.

Wspomniałem już o obszerniej „Historii Niemiec“ Juliusza Zeller'a; teraz donoszę, że autor streścił ją do rozmiarów jednego tomu. Ci więc, dla których pierwsze dzieło wydawałoby się za obszernie, mają do wyboru drugie. Tenże autor wydał świeżo drugi tom swych „Entretiens sur l'histoire du moyen âge“ (Perrin, Paris, 1892), w którym się zajmuje republikami mieszczańskimi (républiques bourgeoises) i miastami średniowiecznymi we Francyi, Włoszech i Niemczech, zaś osobny rozdział poświęcony Arnoldowi z Brescii i Rzymowi, a obszerny ustęp S. Bernardowi i wpływowi, jaki wywierał na swą epokę. Natomiast, nie chcąc się powtarzać, wspomina tylko pobieżnie o dziejach Kościoła i Cesarstwa, które obszernie opowiedział w swojej Historii Niemiec. Tom kończy się na Bonifacym VIII-ym i Filipie Pięknym. Pod kierunkiem tegoż Juliusza Zeller'a i Vast'a zaczęto wydawać obszerną, do 40-tu tomów sięgającą historią powszechną, pod tytułem: „Bibliothèque d'histoire illustrée,” której za wzór czy za zachętę posłużyło niemieckie „Allgemeine Geschichte in Einzeldarstellungen.“ Cel tego wydawnictwa dwójaki: 1) dać obraz rozwoju cywilizacyjnego każdej epoki i każdego narodu; 2) rozpowszechnić wiadomości historyczne za pomocą zajmującego przedstawienia rzeczy, wśród najszerszego, jak można, koła. Każdy tom ma obejmować osobny peryod dziejowy, tak, aby sam przez się stanowił odrębną całość, a razem łączył się z całością ogólną, dla której z góry plan zakreślono. Wiekom średnim poświęci się dziesięć tomów; pięć Francyi, a pięć obejmą następne działy: 1) Niemcy; 2) cesarze niemieccy w średnich wiekach; 3) wielcy papieże w średnich wiekach; 4) Anglia w średnich wiekach; 5) wielkość Hiszpanii w XV-ym i XVI-ym wieku.

Pierwsze trzy tomy tego przedsięwzięcia, mającego się wykonać zbiorowemi siłami, już wyszły z druku; są to: „Les deux révolutions d'Angleterre, 1603—1689 et la nation d'Angleterre au XVII s.“ przez Edwarda Sayons i „La France sous Louis XV. 1723—1774,” przez H. Carré (Quantin, Paris, 1891). Pierwszy, znany tu ze swych prac o Węgrzech, poświęca sporo miejsca umysłowemu rozwojowi Anglii, drugi przeciwnie za mało, ale za to więcej się zajął społeczną stroną; uwagę zwraca rozdział, zatytułowany: „La dissolution de la monarchie.“ Poważniejsza krytyka niezmiernie chwali pracę p. Sayons. Ryciny mogłyby być lepsze, co już nie jest winą ani p. Sayons, ani p. Carré.

P. Fagnet wydał u Lecène'a i Oudin'a (1891) pierwszą seryą swych studyów „Politiques et moralistes du XIX s.“ Kogo obchodzą te kwestye, z ciekawością przeczyta ten tomik, choć się nie zawsze zgodzi z autorem.

Ks. Ansault zwrócił uwagę swym „Mémoire sur le culte de la Croix avant Jésus Christ“ (Retaux, Paris, 1891), w którym powiada: „Krzyż się znajduje na wielu pomnikach starożytnych. Znak ten, który w pierwszej chwili wydaje się jeno ozdobą—i który często nie jest niczem innem, — jest przecież w oczach archeologów, tak wierzących, jak niewierzących, najpierwszym, najdawniejszym i najpowszechniejszym z symbolów religijnych: oznacza życie, życie bożkie, życie wieczne, zbawienie, nawet Zbawcę... Ta idea życia, zbawienia, Zbawcy, przywiązana do krzyża w wiekach, które poprzedziły narodzenie się Chrystusa, nie może mieć innego źródła, tylko objawienie nadprzyrodzone... Chrystyanizm, który od kolebki świata wskazuje krzyż ku czci ludzi, jest widocznie dziełem bożem. I pytamy siebie, jaki interes religijny może nakłaniać do podkopywania pewności i świetności tego nowego dowodu ewangelicznego?“

Przy bardzo ożywionym ruchu piśmienniczym niepodobna mi wspomnieć o wszystkich ważniejszych dziełach, ograniczyć się więc muszę do tych, które naszych czytelników obchodzić mogą. Do takich zaliczam te, które się zajmują albo wypadkiem dziejowym ogólniejszego znaczenia, albo osobistością, której działalność sięga poza granice własnego kraju. Lecz i tu nie mogę obiecywać wyczerpujących informacji, choćby dla tego, że wszystkiego nie sposób przeczytać, a nawet przejrzeć. Dla dopełnienia wszelako wspomnieć potrzeba o kwestyi pierwszorzędnej doniosłości, o szkołach.

Od roku 1887-go zauważono, że liczba uczniów zmniejsza się w szkołach świeckich, a wzrasta w kongregacyjnych. Obecnie jeden z posłów, Karol Dupuy, w raporcie o budżecie edukacyjnym poruszył tę sprawę i zwrócił na nią powszechną uwagę. Mniemają, że ona odbija dwa prądy nurtujące Francją: republikański i konserwatywny, i że jest wyrazem przewagi jednego nad drugim. Czy tak jest rzeczywiście?...

Kompetentni rzecz przedstawiają w następujący sposób. Przyznają, że zakłady rządowe troszkę się wyludniły i zaznaczają, że to pochodzi ztąd, iż klasy zamożne, niezbyt przychylnie tym zakładom, spowodowały to powolne, lecz regularne zmniejszanie się uczniów. W r. 1887-ym licea liczyły 53,816 uczniów, zaś w r. 1891-ym 50,746. Kolegia miały ich w roku 1887-ym 36,086, dziś tylko 32,968. W ciągu lat pięciu ubyło 6,188 osób. Natomiast zwiększyła się liczba uczniów po zakładach utrzymywanych przez duchownych. W r. 1887-ym posiadały one 50,085 uczniów, w roku 1791-ym 51,287. Pomijając szczegółowe statystyczne dane, znajduję w rezultacie ogólnym, że na 174 czy 175 tysięcy uczniów, znajdujących się w zakładach

średnich, tylko 48 na 100 przypada na zakłady państwa. Ze zaś wykształcenie średnie dostarcza przeważnie urzędników administracji, że znaczna część osób poprzestaje na niem, a bierze udział w rządach kraju przez głosowanie, taki stan rzeczy nie jest, według posła Karola Dupuy, pocieszającym dla przyszłości Rzeczypospolitej.

Ludwik Farges, rozbiegając sprawozdanie p. Dupuy, nie podziela jego obaw i odpowiada, że jeżeli zakłady państwa straciły w ciągu pięciu lat 6,188 uczniów, zakłady zakonne zyskały ich tylko 1,202; że jeśli ci zostali straceni dla szkół średnich, nie zostali straceni dla szkół wyższych. Na uniwersytetach katolickich wydziały: medyczny, przyrodniczy, historyczno-literacki, farmaceutyczny są prawie opuszczone (abandonnés), natomiast uniwersyteta państwowe liczących mają studentów: „Jeśli wielki procent w szkołach średnich uchyla się od liberalnego wpływu wszechnicy, za to prawie wszyscy, którzy w niej dopełniają swoje wykształcenie, poddają się jej wpływowi i poddają dobrowolnie.“ Wielka prawda. Wpływ wszechnicy na uczniów jest ogromny. Niepoślednia wiedza profesorów, nieraz bardzo głęboka, nieraz z wielkim talentem połączona, uprzejmość dla studentów z rzeczywistą troskliwością o ich postępy—wszystko to, razem wzięte, stanowi siłę przyciągającą i wpływową bardzo. Młodemu umysłom podoba się niezmiernie hasło: „Nie będziesz się powoływał na słowo mistrza,“ a nie wymaganie ślepej wiary i uległości gasi wszelką ochotę do buntu, a nawet do ślepej wiary się przyczynia. Zwracam wreszcie uwagę na to, że słowa: „Nulle part plus que dans l'université on n'est respectueux de la conscience des élèves,“ są faktem, który tysiące poświadczą.

P. Farges nie widzi, czy widzieć nie chce odbicia się w tym wypadku wyżej wspomnianych dwu prądów, i za przyczynę wyludnienia się podaje to zwiększoną ilość „conges,“ które pociągają za sobą wydatki, nie wielkie wprawdzie, lecz przechodzące nieraz w możliwość niezasobnych rodzin; to podniesioną opłatę wpisów, to wreszcie zmiany programu, i pociesza się następującą okolicznością:

W r. 1881-ym było tylko jedno liceum dla dziewcząt i jedno kolegium. Pierwsze posiadało 71 uczennic, drugie 133. W r. 1890-ym są 24 licea, w nich 3,955 uczennic i 27 kolegiów z 3,088 uczennicami, czyli 7,048, zamiast 204. „Czyż nie należy się spodziewać,—pyta,— że liberalna edukacja, którą otrzymały przyszłe żony i matki, będzie przeciwważała tendencyom klerykalnym?“

Wszystkie te racje nie są bezpodstawne, ale dla czegoż nie widzieć i wpływu dwóch przeciwnych obozów? Co zaś do częstej zmiany programów, nie umiem powiedzieć, ile ten zarzut jest słusznym, zwłaszcza w zastosowaniu do szkół średnich. Bywały niefortunne próby, ale to rzecz nieunikniona w rozwoju każdej działalności ludzkiej. W uniwersyteckich zaś programach nie są to zmiany, ale raczej rozszerzenia i doskonalenie ich (mówimy o peryodzie czasu od r. 1887-go). Tak na przykład zaprowadzono przed trzema lub czterema laty wykłady pedagogiki i praktyczne ćwiczenia; nie te, o których wspominałem w poprzednim liście, że się odbywają na lekcjach „pour l'agrégation,“ ale te, które wprowadzono w szkołach niższych. Student, przygotowujący się do zawodu nauczycielskiego, przerabia pod kierunkiem profesora rzeczywistą lekcję z rzeczywistymi uczniami. Trzeba przyznać, że inowacja to bardzo pożądana i że jej przyklasnąć należy. Zrobiono też więcej miejsca geografii, trochę po macoszemu do niedawna traktowanej, a obecnie zaprowadzono wykłady o historii sztuki francuskiej, której dotąd uczono tylko



Anna Malinowska.

(Ob. „Z tygodnia na tydzień“).

po zakładach specjalnych. Nawet profanów przedmiot ten zajmuje, a profesor Henryk Lemonnier, który onegdaj mówił o stosunku sztuki do dziejów, jak w XVII-ym wieku charakter i duch społeczeństwa francuskiego odbiły się w architekturze, miał pełną salę słuchaczy.

Litawor.

Ś. p.

TADEUSZ CHRZANOWSKI.

W dniu 8-ym b. m. śmierć zabrała zaszczytnie znanego technika i inżyniera ś. p. Tadeusza Chrzanowskiego, którego całe życie wypełnione było niezmierną pracą; owoce jej w postaci trwałych pomników długo jego pamięć przechowają.

Po ukończeniu gimnazjum w Świsłoczy, ś. p. Tadeusz Chrzanowski, spełniając wolę swego ojca, właściciela odziedziczonych potem przez syna dóbr Topolany, udał się do szkoły dróg i mostów w Petersburgu, słynnej podówczas z wykładu znakomitych profesorów, w których rzędzie znajdował się uwielbiany do końca życia przez zmarłego, Stanisław Kierbedź. Po skończeniu korpusu inżynierów cywilnych ś. p. Tadeusz Chrzanowski, jako wybitnej zdolności technik, otrzymał miejsce inżyniera oddziału budującej się kolei żelaznej Mikołajewskiej.

Gdy dostojny profesor zmarłego, gen. Kierbedź podał projekt budowy pierwszego stałego mostu na Wiśle, ś. p. Chrzanowski, śpieszy do Warszawy spełnić wolę swego b. profesora i obejmuje miejsce konstruktora, czyli wykonawcy projektu budowy mostu Aleksandrowskiego. Odtąd prace ś. p. Chrzanowskiego związane są ściśle z historią naszego miasta i kraju.

Koncesjonaryusz bowiem kolei żelaznej warszawsko-terespolskiej, ś. p. Leopold Kronenberg, jako członek komitetu budowy rzeczonożego mostu, po ukończeniu tego znakomitego dzieła, zauważywszy wybitne zdolności, energią i prawością ś. p. Chrzanowskiego, powołuje go w roku 1866-ym na konstruktora i zarazem dyrektora drogi żelaznej warszawsko-terespolskiej. Podwójne więc zaciążyły na nim obowiązki: dopilnowania budowy i przygotowania przyszłej tejże drogi eksploatacji.

Całe szeregi młodzieży, często z uniwersyteckim wykształceniem, lecz bez specjalnych uzdolnień, jakich służba dróg żelaznych wymaga, cisnęły się wów-

czas do tego przybytku pracy. Nowy dyrektor poręki swęj nikomu nie odmawia, brakiem kwalifikacji się nie zraża, staje się raczej instruktorem tej nowozaciennej rzeszy, naucza, informuje, począwszy od dróżnika aż do szefa, i oto w ciągu lat kilku ta nowa kolej pod sterem znakomitego zwierzchnika zyskuje opinią wzorową pośród innych. Młodzieńcom tym dziś już szronem siwizny pokryły się głowy, nie jeden wybitnego dobił się stanowiska, lecz czy jest ktokolwiek z nich, któryby ze czcią nie wspominał ówczesnego dyrektora, któryby sprawiedliwości jego nie wziął za przewodnią ideę własnego powołania, pracy za wzór, i nie miał uwielbienia dla jego niepokalaniej prawości!

Mosty żelazne kratowe w owęj epoce były jeszcze nowością, gdy więc zaszła potrzeba przedłużenia drogi żelaznej terespolskiej do Brześcia, ś. p. Chrzanowski powołany został do sporządzenia projektu budowy tej części drogi i mostu żelaznego na rz. Bugu. Most ten zbudowany został przez niego w roku 1868-ym i projektodawca wydał o budowie tego mostu osobne dzieło w języku francuskim: „Description du pont sur le Boug près de Terespol, chemin de fer Terespol-Brest,“ razem z rysunkami i szczegółowemi obliczeniami, które służą za wzór przy budowie mostów kratowych i niejednokrotnie miało już zastosowanie.

W r. 1874-ym ś. p. Chrzanowski, będąc już konstruktorem budującej się wówczas drogi żelaznej nadwiślańskiej, jednocześnie upoważniony został przez rząd do przygotowania projektu budowy kolei żelaznej obwodowej, łączącej główne stacje dróg żelaznych w Królestwie Polskim, i drugiego mostu na Wiśle. Linia ta, stanowiąca ważną dla kraju arterią komunikacyjną, a dziś wedle nowych urządzeń nacreślająca właściwe granice miasta, zbudowana została przez ś. p. Chrzanowskiego, jako konstruktora, w r. 1877-ym. Łączący ją most kratowy pod cytadela pierwiastkowo projektowany był drewniany, w granicach jednak wydzielonego mu na ten cel funduszu, zmarły konstruktor, mając na względzie trwałość budowli, zaprojektował i wykonał most żelazny, który oprócz pożytku, jaki przynosi, lekkością swą i górnym przełotem pociągów, stanowi prawdziwą ozdobę naszego miasta.

Ś. p. Chrzanowski należał do tego rodzaju pracowników, dla których nie istnieją podrzędne zajęcia, każde jest ważne, sumiennie też kontrolował prace podwładnych. Tą sumiennością powodowany, przy zapuszczeniu kesonów, zbyt często sam się nie zagłębiał i w tych to podziemnych podróżach nabawił się nieuleczalnej choroby, która skróciła jego pożyteczne życie.

Ostatnią najdonioślejszego znaczenia pracą ś. p. Tadeusza Chrzanowskiego była budowa głównej sieci dróg żelaznych poleskich, łączących m. Wilno z m. Równem. Olbrzymie to dzieło, pociągające za sobą niesłychane do zwalczania trudności i wymagające rozwiązania wielu zagadnień technicznych, chlubnie zapisze imię zmarłego konstruktora w rocznikach prac inżynierskich. Dość tu tylko wspomnieć, że kolej wzmiankowana prowadzoną była przez błota poleskie w roku jej budowy, wyjątkowo nawodnione, że w tych wodach zakładane były fundamenta do przyczółków mostowych, wznoszone nasypy pod plant drogi i budowane mosty kratowe, a mosty to były niepoślednich rozmiarów. Wody Niemna, Horynia, Prypeci, Słuczy i Jasioldy, ujęte zostały w żelazne okowy tej nowo-budowanej drogi.

Zakończywszy na tém swą użyteczną działalność, upadły na siłach i stargany na zdrowiu, opuścił Warszawę, aby zażyć zasłużonego spoczynku w ulubionej majątności swęj Topolany, w gubernii Grodzieńskiej położonej, gdzie po długich cierpieniach, opatrzony świętymi sakramentami, zakończył życie.

Z dzieł przez ś. p. Chrzanowskiego drukiem ogłoszonych, oprócz broszur treści filozoficznej, pozostały „Teorya sklepień,“ wydanie specjalnie techniczne, i dwa tomy badań z historyzofii; tym ostatnim poświęcał wszystkie chwile wolne od zajęć obowiązkowych z zamiłowaniem oddając się zgłębianiu tajników przeznaczenia.

Ostatnie słowa, słyszane z ust ś. p. Chrzanowskiego, były: „Umieram spokojnie, bo nikomu nie uczyniłem krzywdy...“

Ś. p. Tadeusz Chrzanowski osierocę syna i trzy córki; najstarsza, Marya Gażyczowa, jest znaną artystką, której dzieła niejednokrotnie zyskiwały uznanie na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych.

W. R.



Astarte wywołana przez duchy, zjawia się Manfredowi. (Akt II-gi).

Or.

Zakłęcie duchów. (Akt I-szy).

Śmierć Manfreda. (Akt III-ci).

Choć się p. Lubowski pogniwać gotów, że tuż pod jego bokiem w „Tygodniku“ śmiem mówić o „Manfredzie“, korzystam z prawa głosu i pragnę wyrazić także moje zdanie o wystawieniu tego poematu dramatycznego na naszej scenie.

Nie mówię ani jako wielbiciel Byrona, ani jako literat, ani jako krytyk teatralny, tylko jako najzwyczajniejszy śmiertelnik i cząstka tej zbiorowej osoby, która się publicznością nazywa.

Nieboszczyk Heine napisał wprawdzie na tę zbiorową osobę złośliwy dwuwiersz: „Publiczność dużo ludzi skupia, dlatego mądra jest i głupia,“ z czego wszelako nie należy wnioskować, że tylko ta druga przeważa, a pierwsza siedzi zawsze w domu i nigdy do teatru nie chodzi.

Tymczasem pewna część naszej krytyki zdaje się zapominać, że ta „mądrzejsza“ publiczność także istnieje i że wśród niej znajduje się może nawet dość znaczny procent takich dziwaków, którzy nie nudzą się, słuchając ze sceny choćby długich tyrad, w żywym, pięknie rzeźbionym słowie, którzy cenią dzieła geniuszów, poezją, głębokość myśli, wyższe natchnienie i dla których to ani wielką subiektywną, ani wielkim poświęceniem nie bywa pójść raz do teatru na zobaczenie i wysłuchanie „Manfreda“, zwłaszcza jeżeli i wykonanie, i wystawa tego dzieła pod względem artystycznym nie będzie jego parodią.

Rozumie się, iż od krzesła do paradyżu codziennie i na każdym przedstawieniu nie można wymagać sali zapelnionej przez samych filozofów, myślicieli, poetów, bajronistów i entuzjastów; takich rzeczy nie wystawia się dla „robienia kasy“, bo do tego służą najskuteczniej farsy, bomby, szopki i inne ucieszne „kawalki.“

Ale co jest w tym złego lub niestosownego, że się raz na Bóg wie ile lat wystawi „Manfreda“, zamiast jednej więcej komedii, która robi klapę, albo dramatu, na którym po trzech przedstawieniach bywają także pustki?...

Daję słowo, widziałem o wiele nudniejsze rzeczy na scenie, którym krytyka nasza tak uparcie nie przepo-

wiadała rychłego zgonu, tak pesymistycznie o nich się nie wyrażała i z takim grymasem nie wruszała ramionami, dziwiąc się, że je próbowano wystawić, jak to czyniła z powodu „Manfreda“,“ przeciwnie, dość często sztuczną i natrętną reklamą, starano się właśnie zagrożony ich żywot przedłużyć na scenie, a tę samą publiczność, którą się swoim sceptycznym tonem zniechęca dziś do poznania dzieła wielkiego poety, zachęcało się codziennie do zobaczenia, choćby kilka razy, miernot dość wątpliwej wartości.

My publiczność, jesteście dobrzy ludzie i pozwalamy sobie często wmówić wiele rzeczy, którym sami nie wierzymy;—mniejsza o to, daliśmy się tyle razy przegadać, przekonać, zbałamucić i zawieść, uwierzyliśmy w świetne powodzenie, w doskonałość tyłu sztuk i wielkość tyłu geniuszów, że chociaż za to samo powinnaby pewna część krytyki uszanować nasze lepsze instynkta, które się w nas bez jej udziału i zaśluzi odzywają, i nie wmawiać w nas tak gorliwie, że ani zrozumiemy, ani się zachwycimy, ani zasmakujemy w dziełach wyższego stylu, głębszej myśli, poetyckiego natchnienia.

Jutro wrócimy znów do waszej codzienniej pospolitości i pojutrze także, na dzisiaj pozwólcie nam się trochę „ponudzić“ na nasze własne ryzyko.

Przed, podczas i po wystawieniu u nas „Manfreda“ panował w pewnych kołach literackich taki nastrój, jakgdyby lord Byron ożył i napisał co najmniej nową komedię, albo nową satyrę „O bardach angielskich i krytykach... warszawskich.“

W teatrze na przedstawieniu słyszałem dowcipy bardzo złośliwe nad dziełem Byrona, zupełnie, jakgdyby się to działo w antraktach jakiej oryginalnej premiery.

— Mówią, że to kapiel poezyi?—odezwał się np. sarkastycznie jeden z naszych Zoilów—dla mnie to chyba sitzbad tylko...

— Bóje się Boga, nie wołajcież tylko autora takiej szopki!—agitował drugi, trapiiony wieczną zmorą konkurencyi.

Inny przysięgał, że „Moja kuzynka“ z Ludową jest stokroć zabawniejszą od całego Manfreda.

A publiczność?... ta słuchała na dole, co mówi prasa, w łóżach, co mówią sąsiedzi, a od balkonu coraz wyżej, co mówią na scenie i—biła oklaski Kotarbińskiemu.

Zdaje mi się, że one właśnie zadecydują wbrew przepowiedniom złowróżbnym o dalszych losach „Manfreda“, który nie może mieć pretensyi rywalizowania z „Ptasznikiem z Tyrolu“, ale jednak, jako dowód staranności i wyższego pojęcia swych zadań ze strony dzisiejszego kierownictwa sceny, pozostanie w repertuarzu, aby od czasu do czasu zabłysnąć wielką firmą na afiszu.

I wtedy, kto wie, czy nie będzie w teatrze tak pełno, jak na pierwszym przedstawieniu, kiedy publiczność weźmie na większy ambit, niż—niektórzy krytycy...

W niniejszym numerze znajdziecie kilka szkiców, zdjętych ołówkiem p. Józefa Ryszkiewicza ze sceni-

cznego obrazu „Manfreda“ podczas ostatniej premiery.

Dla tych, co nieznają czeluści podziemnych zakulisowego świata, a doznają dreszczów na widok bladego ducha z rozwianym włosom, oblanego fanastycznym światłem na scenie, artysta nasz popelniał małą niedyskrecyą i przeniósł na papier odwrotną stronę medalu, zchwycił z natury sylwetki duchów... w garderobie, gdy się „robią“ przed lusterkiem na „strasznych;“ oto np. p. Bolesławski, przerażający widzów i wyglądem, i potężnym głosem basowym w roli złego demona, który gwałtem pragnie Manfreda do piekiel zabrać, za co mu zapewne szczerze był wdzięczny p. Kotarbiński, bo mógłby wcześniej skończyć swą morderczą pracę w roli tytułowej i „rozcharakteryzować“ się z maski Byrona.

Dalej znów macie widmo, oczekujące „na trapie“ znaku inspicjenta pod sceną; elektryczny dzwoneczek dźwięknie cichutko, maszynista korbę przesunie, a hydrauliczne tłoki podniosą ducha, jak pióreczko, w górę ku wielkiemu zadwoleniu p. Jasińskiego, który jako główny mechanik teatrów warszawskich, cieszy się zawsze za kulisami, gdy „jego maszyny“ tak dobrze funkcyonują.

Przypuszczam, że na wystawie teatralnej w Wiedniu znajdują się fotograficzne zdjęcia świetnych urządzeń dzisiejszych Teatru Wielkiego, który zasługuje teraz na podziw nawet wybrednej zagranicy.

Warszawa żadnej w tym roku nie doczeka się wystawy; projekt rękodzielniczego i przemysłowego popisu wyrobów skórzanych i garbarskich w Muzeum



P. Józef Kotarbiński w roli Manfreda.

nie dojdzie do skutku, tak samo, jak i wystawa nasion, jak i zamierzona przed rokiem czy dwoma laty wystawa fotograficzna i reprodukcyjna.

Ci, których to najbardziejby obchodzić mogło, oświadczyli, że z wyrobów skórzanych mogliby chyba wystawić puste pugilaresy i dziurawe kieski, które znów nie są niczym tak bardzo ciekawym i zajmującym.

Wystawie inwentarza, Towarzystwo wyścigów konnych dało także pokój w tym roku.

Po bliższym zbadaniu projektu przez komisję, okazało się, że jedynym miejscem, na którymby można urządzić wystawę, jest część placu na polach mokotowskich poza obrębem wyścigowego toru, ale do wzniesienia tam najskromniejszych budynków wystawowych należałoby mieć przynajmniej 8,000 rs., Towarzystwo zaś najwyżej na ten cel przeznaczyło sumę 5,000.

Z ust pana wiceprezesa, hr. Augusta Potockiego, który przewodniczył na ostatnim walnym zgromadzeniu Towarzystwa wyścigów konnych, dowiedzieliśmy się ciekawego szczegółu, stojącego w związku ze sprawą odłożonej wystawy.

Sportsmani nasi powiadali sobie tak:

— Urządzimy wystawę gospodarską, damy do niej inicjatywę, a za to ziemianie pomogą nam wykonać ten projekt i w dowód uznania zapiszą się na listę członków naszego Towarzystwa, przez co powiększą się nasze fundusze i przybędzie środków do skutecznego rozwinięcia tego projektu.

Ziemiańscy zaś pokazali Towarzystwu oko i ani jeden nie zapisał się na członka, ale za to aż dwóch obiecało to uczynić wtedy, kiedy wystawa przyjdzie stanowczo do skutku.

Jehowa dla pozyskania dziesięciu sprawiedliwych chciał oszczędzić całą Sodomę, ale dla zdobycia dwóch członków trudno jest urządzić całą wystawę Towarzystwu wyścigów konnych, które ma inne cele przedewszystkiem na oku.

Wprawdzie pan wiceprezes twierdził, iż ze względu na stan swoich funduszy nie może ono ryzykować większej sumy, aniżeli 5,000 rs. na urządzenie wystawy, ale to nie przeszkodziło podwoić nagród do wysokości 10,000 na wyścigi jesienne w celu większego zachęcenia hodowców do wzięcia w nich udziału.

Najważniejszym jednak argumentem przeciw tegorocznej wystawie było przewidywanie, iż się może nie udać. Hr. Krasiński i hr. Czacki postawili tedy wniosek, ażeby ją odłożyć do roku przyszłego, rezerwując na ten cel fundusz 5,000 rs., wyjednać pozwolenie na



Złe duchy w garderobie.

inne stowarzyszenia jeszcze mniej okazują gorliwości w tym względzie.

Oto zeszedł niedzieli na walne zebranie towarzystwa spożywczego „Merkury“, które liczy członków przeszło dwa tysiące, stawilo się ich aż... trzynastu.

To się nazywa zajmować swojemi interesami!...

Potem będą skargi, że działalność stowarzyszenia za mało się rozwija, że przy obrocie krociowym w ośmiu sklepach „Merkurego“ czysty zysk jest śmiesznie mały, że dywidenda jest za niska, potem będą krytyki, utyskiwania, niezadowolonia i t. p., ale gdy się nadarza sposobność skorzystać ze swoich członkowskich praw, przekonają się osobiście o stanie interesów, podać zdrową radę, przyczynić się do poprawienia złego, jeśli jest, wystąpić z praktycznymi wnioskami, wtedy stawia się na placu trzynastu stowarzyszonych spożywców z głową i żołądkiem, a dwa tysiące innych zostaje w domu i—trawi...

W ten sposób wszelka zbiorowa gospodarka psu na budę się nie zda, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o przedsiębiorstwo handlowe, o drobne udziały i o znalezienie najpraktyczniejszych środków zapewnienia sobie jak największych korzyści.

Sprawozdanie za ostatnie półrocze „Merkurego“ wykazuje w niektórych pozycjach większe cyfry i przybytek członków, większy zysk i większe oszczędności, ale różnice te zawsze jeszcze są za małe, jak na stowarzyszenie tak liczne i obrót tak znaczny.

Zarząd sam wystąpił z wnioskiem bardzo ważnym, aby przy obecnej ilości sklepów Stowarzyszenia powołać odpowiednią liczbę rewidentów, i wyznaczyć im tanytemem vice-dyrektora, którego posadę, jako zupełnie niepotrzebną, zmieść należy.

Sprawy te wraz z innymi rozbiegane będą na następnym posiedzeniu, które naznaczono na 27-my b. m. bez względu już na liczbę przybyłych członków.

Może i z tych trzynastu, dziesięciu pozostanie w domu. Zły przykład bywa zaraźliwym.

Szkoda, że dobry takim nie bywa; mielibyśmy zaraz mniej zachodu około naszych filantropijnych spraw, które się obecnie w ciągu wielkiego postu ciśnią niustannie na porządek dzienny.

Co tydzień mamy teraz po kilka celów dobroczynnych, polecających się uwadze i ofiarności publicznej.

Tu ks. Radziwiłł urządził raut muzyczno-dramatyczny-obrazowy w Muzeum na korzyść przytułku sierot w Drewnicy, imienia niezapomnianej czi Jachowicza; nadobne damy i dziewice z high-life'u ilustrują hiszpański poemat księcia w szeregu żywych obrazów.

Tam pani Ludwikowa Górską z hr. Ludwikową Krasińską urządzają inny raut w salach reductowych na korzyść Towarzystwa św. Wincentego à Paulo,

które w zeszłym roku aż 1,081 rodzin musiało wesprzeć, a pomiędzy temi kilka literalnie od niechylnej śmierci głodowej uratowało; w tej chwili ma ich przeszło trzysta na liście, sercu i kieszeni.

Ówdzie znów koncert jeden, koncert drugi, wieczór ten, wieczór ów w resursie tej, w resursie owej, a wszystkie z celem filantropijnym, godnym poparcia i kupienia biletu konieczne, półjścia—niekonieczne.

Muzyka, jak zwykle, bywa najchętniejszą służką każdej dobroczynności i z brzękiem datków zbieranych w skarbonkę publiczną miesza swoje dźwięki na każde zawołanie.

Tę zasługę należy jej przyznać z uznaniem.

Z uznaniem też muszę wspomnieć o innym czynie naszych melomanów, którzy przy Towarzystwie muzycznym utworzyli sekcję imienia Moniuszki, mającą na celu rozpowszechnianie jego dzieł ku większej czi wielkiego pieśniarza, gromadzenie materiałów, wspomnień, pamiątek, dat z jego życia i utrzymywania należnego kultu dla twórczości i pamięci jego. Przewodniczącym w tej sekcji jest dr Karłowicz; na liście członków spotykam nazwiska poważne prawdziwych znawców i miłośników muzyki, którzy sobie nader wdzięczne obrali w tym kierunku zadanie.

Nie opuszczając dziedziny muzykalnej, w ostatnim akordzie niniejszego felietonu muszę zmieścić nazwisko p. Anny Malinowskiej, śpiewaczki ze Lwowa, która rozpoczęła debiuty swe, jako Gilda w „Rigolecie“ na scenie warszawskiej zeszłego czwartku.

Jest to początkująca dopiero primadonna, ale według tego, co słyszałem tylko na próbie, wiele obiecująca na przyszłość. Jej dźwięczny, równy, bardzo podatny aż do najwyższych nut sopran koloraturowy stanowi piękny materiał, w dobrej snadź kształcony szkole, ale o tem niech wyrokują Poliński w najbliższym swym przeglądzie muzycznym.

Tymczasem tylko „pokazujemy“ czytelnikom w obrazku gościa naszej opery, co ich zapewne zachęci do „usłyszenia“ go w naturze.

M. G.

POLITYKA.

—*ul.*— Dnia 16-go marca. — Książę Kumberlandu, pozbawiony nie tylko ojcowskiego tronu hano-werskiego, lecz i mienia prywatnego, o ile pozostało w kraju przez Prusy zagarniętym, doznał się chociaż częściowego wymiaru sprawiedliwości. Cesarz Wilhelm II-gi, dotrzymując obietnicy, danej przez usta kanclerza sejmowi pruskiemu, zwraca Ernestowi Augustowi ks. kumberlandzkiemu t. zw. fundusz wel-



Duch pod sceną.

zajęcie dla wystawy części pola mokatowskiego (z Ujazdowem bowiem już się skończyło), wyjednać subwenyę od ministerium dóbr państwa na nagrody i w następnych latach z wpływów bieżących wyznaczać pewien zasilek na rzecz wystaw.

Uchwały te zapadły w obecności kilkunastu zaledwie członków Towarzystwa, obecnych na zgromadzeniu, ale dziwić się temu nie można, że sportsmani nasi nie spieszą tak gorliwie na swoje obrady, skoro

Od redakcyi.

„Tygodnik ilustrowany“ wychodzić będzie i nadal, w tych samych, co dotąd, rozmiarach i pod takimiż warunkami.

Łaskawych przedpłacicieli naszych upraszamy o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał przyszedły.

Warunki prenumeraty

W WARSZAWIE:

Rocznie	rs. 8 kop. —.
Półrocznie	„ 4 „ —.
Kwartalnie	„ 2 „ —.
Miesięcznie	„ — „ 67½.

Za odnośnienie do domu dopłaca się kop. 5 kwartalnie.

NA PROWINCYI I W CESARSTWIE:

Rocznie	rs. 12.
Półrocznie	„ 6.
Kwartalnie	„ 3.

„NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ,“

PRZEZ

Józefa hr. Potockiego.

Od czasu, jak areyksiążę Rudolf wydał swoje „Orientreise,“ zyskały notatki myśliwskie prawo obywatelstwa w literaturach europejskich. Pokazało się bowiem, że i bez imponującego balastu erudyty przyrodniczej lub archeologicznej, a nawet bez specjalnego artystycznego talentu odtwarzania natury, można napisać rzecz piękną i zajmującą. W szeregu też prostych i na pozór zwykłych notatek myśliwskich dał nam zmarły przedwczesnie areyksiążę powabne obrazy Egiptu i Azji Mniejszej, a obok starożytnych pomników, które z zachwytem opisywał, spotykaliśmy się w jego pracy z oryginalnymi łowami na szakale wśród szczelin piramid i mogliśmy zajrzeć w nieprzebyte prawie gęstwiny trzciny cukrowej.

Podobne wrażenie czynią „Notatki myśliwskie“ hr. Józefa Potockiego. Dżungle indyjskie zostały przez autora starannie i skrupulatnie zwiedzone i nie bez rzeczywistego talentu opisane. Pragnienie spotkania z tygrysem było u autora szczerze, a nawet namiętne. Nastąpiło jednak w warunkach nie zbyt fortunnych, a jeszcze mniej bezpiecznych. Ranny tygrys, ścigany energicznie i umiejętnie, o mało co nie zaskoczył hr. Potockiego tak niespodzianie, że o daniu skutecznego strzału ani zamaryć nie było można. Na szczęście, pyszny zwierz królewski zanadto był znękanym upływem psoski, aby mógł zamaryć o zemście, i jego prześladowcy uszli cało, ale nie mieli powodu do zbytnej radości, gdyż tygrys zniknął, pozbawiając ich wspaniałych łupów.

Jeżeli główny cel myśliwskich łowów w Indyjach, tygrys, nie padł z ręki hr. Potockiego, to przynajmniej pantera przyozdobiła jego trofea łowieckie. Do pantery jednak dołączyć należy sporą ilość pięknego zwierza i ptactwa, jakich mu każdy z europejskich łowców szczerze pozazdrościć może. Notatki myśliwskie z Indyj zawierają prócz tego

opisy bardzo staranne i piękne terenu łowieckiego i zapoznają nas z naturą tego wspaniałego kraju. Pozwolę sobie podać opis Dżungli, jaki nam hr. Potocki podaje, z niego bowiem przekonać się można, jak trudnym jest pościg zwierza w podobnych warunkach, i że jedynie w podkarpackich lasach myśliwy natrafić może równie trudne przeszkody.

„Dżungle centralno-indyjskie, które mam przed oczyma, kreśli autor, i które w znacznej części pokrywają tak zwane centralno-indyjskie płaskowzgórza, to ogromne, milami wzdłuż i wszerz ciągnące się obszary kamienistego gruntu, gdzie niegdzie równe, jak step, częściej wznoszące się w pasmo niewysokich pagórków, poprzerzynane we wszystkich kierunkach strumieniami o kamienistym łożysku i urwistych brzegach, zwykle prawie zupełnie wyschłymi i tylko w porze deszczów wzbierającymi do wielkości rwących potoków. Nad ich brzegami piętrzą się nagie skały, gdzie niegdzie olbrzymie głazy kamienne tworzą ciemne jaskinie i głębokie wertepy, tu i ówdzie wznosi się wyższy pagórek, jak kopiec z kamienia wulkanicznej formacji. Cały ten obszar niezmierny, zarosły gęsto krzakami koleczastych krzewów, karłowatymi drzewami, powojem rozmaitych roślin pasorzytnych, wijących się w okolo drzew egzotycznych, nizko nad ziemią rosnących, podszyty gęstą, do wzrostu człowieka wysoką, o tej porze roku spaloną trawą. Gdzie niegdzie po dolinach, gąszcz się przerzedza, teren równy, nagi, jak step, pokryty tylko niewielkimi kamykami—istna kamienna pustynia. Dziko i chaotycznie to wygląda, jakby ten szmat ziemi wyszedł z chaosu stworzenia, niesformowany i niewykończony ręką Stwórcy. Ni to las, ni step, ni pustynia, wszystkiego po trosze, w nieładzie, obok siebie porozrzucane. Jedyne drogi w dżungli są ścieżki i przesmyki dzikiego zwierza w trawie wydeptane. Gdzie niegdzie wyrastające wysokie drzewo, lub wyższy szczyt pagórka stanowi jedyny sposób zorientowania się w tym przestworzu gąszczów, kamieni i głazów. Ważną rolę w dżungli dla myśliwego odegrywają potoki i łożyska strumyków, tu się bowiem zwierz dziki nocą do wodopojów ściąga i niedaleko od nich zwykle w dzień zalega, więc też poluje się zwykle w okolicy strumyków, czasem nad samymi ich brzegami.“

Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze kilka charakterystycznych ustępów, zapoznających nas z niespodziankami, jakie przytrafiają się łowcy indyjskiemu. Otóż pod koniec jednego z miotów usłyszał autor przed sobą, w trzcinowym gąszczu, łamanie i trzask gałęzi, jak gdyby najgrubszy zwierz przez krzaki się przedzierał. Stał więc przez chwilę złożony, co najmniej tygrysa się spodziewając, gdy trzy pawie, ślicznie ubarwione koguty, zerwały się o kilka kroków przed nim z okrutnym hałasem. Żaden zwierz tyle hałasu w miocie nie robi, co paw. Stąpa ciężko, jakby jeleń szedł, i w ogóle nieznośne to dla nerwów myśliwego stworzenie, tym bardziej, że ich nawet strzelać nie wolno i nie wypada. Hindusi bowiem tego ptaka za świętego uważają.

Cały urok indyjskiego polowania, pisze hr. Potocki na innym miejscu, leży w tej niesłychanej różnorodności i ilości zwierza, jaką się na każdym kroku spotyka. Na jednym stanowisku widzi się nieraz trzy lub cztery gatunki cerwidów, hyeny, wilki, dziki, lisy, nie mówiąc już o tym, że się w każdym miocie pantery, nawet tygrysa spodziewać można. A ptactwa co za różnorodność! Z ornitologią w rękę trzeba przystudować całą faunę ptasią podzwrotnikową, by prócz gatunków wodnego ptactwa wyliczyć wszystkie okazy kuropatw,

frankolinów, pawi, gołębi i papug, przeciągających w każdym niemal miocie nad głową myśliwego. W tém właśnie dżungli są niezrównane, że miłośnik przyrody odnajduje w nich bogate skarby, a myśliwy znudzić się nie może. Naganka nie chodzi w dżunglach równie i porządnie. Zajmowane ostępy duże, niezrównanej konfiguracji, teren skalisty, wertepami przecięty, utrudnia pochód naganki; do tego ludzie z obawy przed tygrysem lub panterą, w kupki się zbijają, ciemne gąszcze ostrożnie wymijając, za lada szelestem wylażą na drzewa, i tracąc linię porządkową, nieraz wychodzą z innej strony, niż stoją myśliwi. Dziwić im się nie można: nadzy i bezbronni, z kijem w rękę, pierwsi wystawieni są na napad dzikiego zwierza, gdy ten postrzelony, w tył się rzuca.

Przytoczę na zakończenie oryginalne polowanie na antylopy z lampartem, jakie nam opisuje hr. Potocki. „Dosiadłszy konia—powiada autor,— wróciliśmy w dżungle obok wozu z lampartem, wołami zaprzęzonego, krokiem postępując. Niebawem ujrzeliśmy kupkę antylop: kilka łan z młodemi w pierwszej linii, dalej dwa słabe kozły, za nimi nieco dalej, piękny czarny kozieł. Jeden z dojeżdżaczy zsiadł z konia i obok klatki na wozie się ustawił. Ledwo stanął obok lamparta, widać było pod kapturem, jak tenże jakby niepokoić się zaczął. Podjechaliśmy o jakie 300 kroków do antylop, które, nie zważając na nas, spokojnie dalej się pasły. Wtém dojeżdżacz, otworzywszy klatkę, szybkim ruchem ściągnął kaptur z lamparta, zwróciwszy go poprzednio łbem ku antylopom. Stał sekundę, jak wryty, oczyma łypnął, jakby do raptownego blasku słońca chciał się przyzwyczaić, i zoczywszy antylopy, wyskoczył zręcznym ruchem z klatki i z wozu, i jak piorun, w błyskawicznych susach pomknął ku nim. W życiu mojem takiej szybkości u zwierza nie widziałem; zdawało się, że nie biegnie po ziemi, lecz jakby potężnymi sprężynami podrzucany, w powietrzu się unosi. Śliczny to był widok, niestety! nie trwał długo; lampart dogoniwszy stadko, z zadziwiającym sprytem minął łanie i słabsze kozły, a puścił się za starym czarnym kozłem, który, wysforowawszy się naprzód, mknął, jak strzała. Nie pomogło mu to jednak: po kilkuset krokach dopadł go lampart i zaskoczywszy go z przodu, chwycił za gardło. Oba runęły na ziemię.“

Nie braknie również w „Notatkach myśliwskich z Indyj“ opisów ruin, oraz spostrzeżeń nad miejscowym społeczeństwem. Przytoczę tylko wrażenie, jakie na autorze uczyniła świątynia Tadz-Mehul, którą cesarz Szach Jechan w XVII-ym wieku, jako grób i mauzoleum dla zmarłej swej małżonki, wystawił. Na szafirowém tle wschodniego nieba, wśród róż i jaśminów, drzew ślicznie kwitnących, w ciemnej zieleni cyprysów, wznosi się Tadz-Mehul, na terasie z różowego marmuru, jak jasny diament w kwiatów bukicie, cały z białego, jak śnieg, przezroczystego, jak alabaster, rzeźbionego, jak koronka, marmuru, bez skazy, bez plamki, w blasku drogich kamieni, któremi w najpiękniejszej mozaice zewnątrz i wewnątrz jest wyłożony, jakby nadziemskie zjawisko z Tysiąca i jednej nocy. Jeżeli trudno opisać, jak wygląda sam gmach, tém trudniejszym jest oddać to uczucie podziwu i zachwyty, jakie każdego ogarnia na widok tego, jak go ktoś nazwał, poematu z marmuru. Na mnie przynajmniej żaden gmach lub świątynia, którą gdziekolwiek w życiu widziałem, nie wywarła większego wrażenia wspaniałością jakby nadziemskiego zjawiska, a zarazem prostotą stylu. Widząc Agrę i jej zabytki, ma się wrażenie dawnego Oryentu śred-

nich wieków, o bajecznym przepychu azyatyckich władzców, ich despotycznych fantazyach i kolosalnych bogactwach, które tylko oczy pierwszej młodości w rozbudzonej wyobraźni odmalować potrafią, a których ślady się na każdym kroku tutaj spotyka.

Zdaje się, że powyższe fragmenta są zupełnie wystarczającymi, aby dać należyte wyobrażenie o „Notatkach myśliwskich z Indyj.“ Autor ukazał się nam nie tylko, jako wyborny i ryzykowny myśliwy, ale także jako pisarz istotnego talentu, który piękno natury znakomicie odtworzyć potrafi. Nie wątpimy też, że pierwszy występ w literaturze hr. Józefa Potockiego nie będzie ostatnim i że zamiłowanie, czyli wyrażając się specjalnie „żyłka myśliwska,“ pociągnie go jeszcze nie raz, na ciekawe i karkołomne wyprawy.

A. Rembowski.

Nasz dodatek powieściowy.

W numerze niniejszym rozpoczynamy drukować przekład najnowszej powieści

Alfonsa Daudet'a

p. t.

„RÓŻA I NINA.“

Treść tej wysoce zajmującej pracy znakomitego pisarza osnutą jest na stosunkach i losach rodziny, rozluźnionej skutkiem rozvodu małżonków. Autor w właściwy sobie sposób, z niepospolitym talentem obserwatora i psychologa, dowodzi, że rozwód bynajmniej nie zwraca wolności jednostce uczuciowej i myślącej w małżeństwie, gdy ta je-



dnostka jest ojcem albo matką, — przeciwnie, pozabawia ją nawet tego, co w poprzednim położeniu mogło być dla niej osłoda życia, t. j. zaufania i przywiązania dzieci.

Pozwalamy sobie zwrócić szczególniejszą uwagę naszych czytelników na ten utwór, którego przekład ukazuje się jednocześnie z francuskim oryginałem.



Rysunek do artykułu „Notatki myśliwskie z Indyj.“

BIBLIOGRAFIA.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzezypospolitej polskiej, z archiwum tak zwanego „Bernardyńskiego“ we Lwowie. Tom XV-ty. 8 50

Archiwum komisji historycznej. Tom VI-ty. Kraków, 1891. 3 --

Blumenstock Alfred. Wiadomość o rękopisach prawnohistorycznych biblioteki cesarskiej w Petersburgu, sprawozdanie z poszukiwań. Kraków, 1891. 1 80

Chetnicki Z., ks. W Brazylii, notatki z podróży (z licznymi ilustracjami w tekście), dwa tomy. 1892. 4 --

Dawid J. Wł. Nauka o rzeczach, rys jej historycznego rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda, oraz wzory lekcji. 1892. 3 --

Ewangelia cantata ad Processionem Solemne Confraternitatis SS. Rossarii in festo circumcissionis D. et SS. Rossarii. B. V., additis aliis, quae in solemnitate SS. corporis Christi cantari solent. Vladislaviae, 1892. 1 50

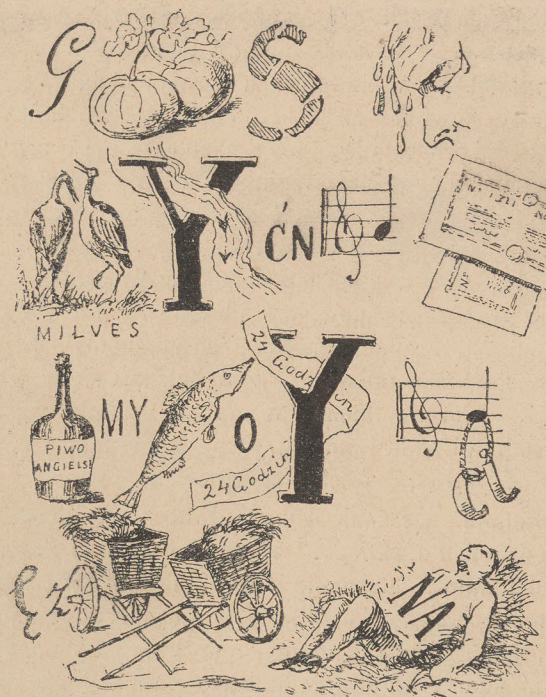
Haubner, dr. Weterynaryja gospodarska czyli nauka leczenia zwierząt domowych. W dziesiątym wydaniu oryginału przerobiona i uzupełniona przez dra O. Siedamgrodzkiego, przełożyli z niem. dr M. Laurysiewicz i A. Strzelecki. Wyd. trzecie z 98-ma drzeworysami w tekście. 1892. 3 --

Lamartine A. de. Jocelyn, dziennik wiejskiego plebana, przełożył A. M-ski. Kraków, 1981. 1 --

Miesiąc Marzec nowy, poświęcony Błogosławionemu patriarsze Józefowi Św., dla otrzymania Jego potężnej pomocy w ciągu życia i w godzinę śmierci. Tłómaczenie z francuzkiego, ze wstępem O. Prokopa Kapucyna. 1892. -- 30

Spasowicz Włodzimierz. Pisma. Tom I-szy. Wiadomość o Rudawskim.—O Orzelskim.—O Heidensteine.—Władysław Syrokomla.—Wincenty Pol, jako poeta.—Nasze dzisiejsze sądy polubowne.—O Bajronizmie Mickiewicza.—Konrad Wallenrod. Petersburg, 1892, tom 2 — całość (6 tomów) 9 --

REBUS.



Znaczenie rebusu zamieszczonego w nrze 115-ym:

Człowiek bez taktu w postępowaniu popełnia błędy na każdym kroku.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Redaktor dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie z wyjątkiem świąt w biurze redakcji od g. 3—4. — Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadsyłanych do redakcji, nie zwraca się Adres redakcji: „Warszawa, Krakowskie-Przedmieście nr 15, przy księgarni Gebethnera i Wolffa. — Telefonu nr 17.

Prenumerata w Warszawie: rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie k. 67 $\frac{1}{2}$. — Na prowincyi i w Cesarstwie: kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Марта 1892 г. — W drukarni i litografii S. Orgelbranda Synów, ulica Krakowskie przedmieście № 66.

Do każdego numeru „Tygodnika ilustrowanego“ dołącza się okładkę z ogłoszeniami, szachami, grafologią, zadaniami i t. p.